Nr. 44. Lwów, Niedziela dnia 8. Lipca 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
Reklamacye uwzględniają się do 2. tygodni.

Co robić?

Społeczeństwo nasze przebywa obecnie jednę z najkrytyczniejszych chwil. Ile razy zagrzmią działa w Europie, tyle razy zrywamy się od pracy codziennej, organicznej i całą naszę uwagę przenosimy na teatr wojny. Wypadki przechodzą i my rozczarowani wracamy do ogniska domowego.

Przed nami leży jednak otwarta droga, którą idąc nigdy zwątpienia, nigdy rozczarowania nie doznamy, ale owszem każda godzina pokrzepi naszego ducha, wzmocni nasze siły. Z tej drogi więc nigdy zbaczać, nigdy jej zapominać, nigdy na chwilę opuszczać nie powinniśmy, bo ona jedynie niezawodnie prowadzi nas do upragnionego celu — ona w ostatecznym rezultacie zaprowadzi nas tam, dokąd zdążamy, zaspokoi wszystkie nasze pragnienia i przyniesie zupełne zadowolenie.

Tą nieomylną, jedyną na zawsze aż do skutku drogą, jest praca nad podniesieniem oświaty ludu.

Nie chcemy być źle zrozumieni. Nie uwłaczamy pracom w innych kierunkach, i owszem uznajemy i cenimy każdą uczciwą pracę dla dobra publicznego podjętą; szczególniej też uznajemy niezbędną potrzebę pracy w kierunku politycznym, ale wyraźnie zaznaczamy, że każda praca w jakimkolwiek kierunku wobec doniosłości sprawy oświaty ludu ma w życiu naszem tylko drugorzędne znaczenie, jeżeli nie jest ściśle z nią złączona.

Nie zawsze praktycznie się zapatrywano u nas na kwestyą oświaty ludu. Zakładanie szkół czyli nauka czytania i pisania jest niewątpliwie sprawą pierwszorzędną. Nie możemy jednakże zupełnie spuścić się na szkoły raz dla tego, że tylko mała część ludności przechodzi szkoły, a powtóre, że sama nauka czytania i pisania nie stanowi oświaty. Można umieć czytać i pisać, a pomimo to być zupełnie ciemnym, i można nie umieć czytać ani pisać, a jednak być względnie dosyć wykształconym.

Pod oświatą ludu rozumiemy uobywatelenie ludu, objaśnienie go o jego stanowisku w społeczeństwie, zainteresowanie go w życiu publicznem, wprowadzenie go na drogę pracy narodowej i oświecanie go w tym kierunku.

W jednym z poprzednich numerów wskazaliśmy na wielką doniosłość zakładania czytelni małomiasteczkowych, a w dalszym ciągu i czytelni ludowych czyli wiejskich.

Czytelnia taka zorganizowana jako czytelnia tylko, z celem zgromadzania pism i książek i odczytywania takowych, miałaby zbyt jednostronne, zbyt monotonne działanie i nie potrafiłaby zainteresować dostatecznie. Pod hasłem czytelni ludowej rozumiemy stowarzyszenie ku wzajemnej nauce i rozrywce, gdzie ludzie wykształceńsi znaleźliby pole wdzięcznej pracy nad podnoszeniem moralnem i intelektualnem mniej wykształconych nie tyle w formie nauczania, ile w formie rozrywki. Czytelnia taka oprócz wyboru książek moralnej i rozumnej treści, oraz dzienników jako żywego słowa, powinnaby urządzać odczyty, przedstawienia teatralne sztuk odpowiednich, mieć urządzenia gimnastyczne, popisy konnej jazdy, strzelania do celu, wycieczki i tysiączne inne rzeczy, które w ogóle na podniesienie wiadomości i szczególnie na rozjaśnienie umysłów ludu wpływać mogą. Dzienniki ludowe dostarczą obfitego materyału do dyskusyi i zainteresowania, byleby ten umiejętnie zużytkowany został. Ta umiejętność zużytkowania materyału, jak w ogóle wyciągnięcia korzyści z czytelni zależy od jednej rzeczy. Bez niej ani urządzenie czytelni, ani zużytkowanie materyału tak różnorodnego, jaki się nastręcza, nie da się przeprowadzić, a nawet przeprowadzone do pewnego stopnia nie posunie sprawy naprzód i musi sprowadzić w końcu rozczarowanie i zniechęcenie.

Tą jedną rzeczą jest równouprawnienie ludu i zbratanie się z nim.

Niech to nikogo nie dziwi, że mówimy o równouprawnieniu ludu, lud jest równouprawniony wobec prawa, ale nie o tem równouprawnieniu mówimy. Uderzmy się w piersi i odpowiedzmy otwarcie, czy my ten lud uważamy za zupełnie równy sobie? Czy my go nie mamy za parodyą człowieka? za zbydlęconego?

Bo takim jest, powiecie. Takim nie jest, panowie. Nie będę się silił na przekonywanie słowami, gdyż nie przekonałbym, ale zajrzyjcie głębiej pod tę sukmanę, zajrzyjcie do serca tego ludu, uderzcie w tę strunę — przemówcie sercem do serca, a przekonacie się, że to co uważacie za błoto jest najszczerszem tylko nieprzetopionem złotem.

I zkąd my czerpiemy prawo do uważania się za coś lepszego od ludu? Czy z wykształcenia? — ależ lud nie winien temu, że nie odebrał dotąd wykształcenia, jeżeli kto winien, to chyba my, żeśmy je w nim dotąd zbyt zaniedbali. Czy z urodzenia? Dzięki Bogu ten przesąd już dziś ustępuje. Czy z bogactwa? ależ bogactwo daje nam tylko korzyści, nie przerabiając naszej natury. My tylko jesteśmy szczęśliwsi, ale nie lepsi.

Możemy wyliczyć tysiące błędów, wad, zdrożności i zbrodni popełnianych przez lud: pijaństwo obrzydliwe, kradzieże, mordy, pożogi, mściwość etc. etc. — to prawda. Ale czyż to nie są li tylko skutki ciemnoty? I znowu powiem, że nie tej ciemnoty, że lud czytać i pisać nie umie, ale że nie ma ideałów podnioślejszych, że nic nie wie, że go nic nie obchodzi, że jedyną jego rozrywką jest wódka, jedynem jego pragnieniem ulżenie w pracy i spoczynek. Wskażmy mu wyższe cele, zainteresujmy go życiem publicznem, rozjaśnijmy jego widnokrąg pojęć, a wówczas przekonamy się, że on będzie innym. Lud pozostawiony w tym stanie zaniedbania i ciemnoty, oddany na pastwę nałogom, *innym jak jest, być nie mógł* i dopóki nie podamy mu ręki i nie wydźwigniemy go z tej przepaści, dopóty takim pozostanie.

A nie dosyć jest uznać lud równym, ale potrzeba go uznać za brata, ukochać go jako brata, tylko nieszczęśliwszego, przebaczyć mu jego wady, które nie z jego winy pochodzą, przemówić do jego szlachetnych instynktów, pociągnąć go ku sobie — słowem zbratać się z nim. Tylko nieograniczoną miłością potrafimy podnieść lud,

tylko zespoleniem się z nim, wniknięciem w jego potrzeby, podaniem mu serdecznem ręki, potrafimy obudzić jego zaufanie, przywiązać go i podnieść z tego stanu, w jakim zostaje.

Niech nikt nie mówi, że próbował wejść w stosunki z ludem, że pracował dla niego, ale przekonał się, że jest to rzeczą bezskuteczną. Słyszeliśmy to tysiąc razy, ale nie uwierzymy. A nie uwierzymy dla tego, że i sami mamy z własnego doświadczenia i z wielu innych wiadomych nam, a na gruncie sprawdzonych faktów niezbite dowody, że tak nie jest — a gdybyśmy dowodów nie mieli, to sama natura rzeczy dostatecznie przekonaćby nas o tem potrafiła. Ci, którzy doznali zawodu, rozpoczynali pracę połowicznie tylko, nie szczerze, bez przekonania, nie widzieli w chłopie równego sobie człowieka, nie widzieli w nim rodzonego brata, przychodzili albo z łaski, z nauką, z radą, przestrogą — mieli szlachetne cele, ale nie dali serca, nie wzięli do serca sprawy ludu, nie poświęcili się dla niej zupełnie i nie dziwimy się wcale, że doznali rozczarowania.

Zważmy na to, że lud jest ciemny, z nałogowany, nieufny — że nasze argumenta nie mogą trafić do jego przekonania. Do przekonania jego na fałszywych podstawach opartego, w różnostronnych kierunkach bałamuconego, mogą prędzej trafić anti-socyalne, niedorzeczne lub zbrodnicze teorye. Nas może on tylko zrozumieć poczciwym instynktem, nas może tylko zrozumieć sercem. Tędy więc tylko droga do ludu. Otworzmy serce dla niego, przemówmy do jego serca, bądźmy wytrwali i zdobądźmy ufność.

Podniesienie ludu ze stanu, w jakim jest, na stanowisko obywatelskie, jest naszym obowiązkiem. Jest naszym obowiązkiem jako ludzi i jest naszym obowiązkiem jako Polaków. Długiej i wytrwałej pracy wymaga, ale wdzięczny owoc wyda.

W pracy tej nie idzie wcale o to, aby się zniżać do jego nałogów. Przeciwnie, w stosunku naszym tylko piękną stronę okazywać należy. Zupełnie ludzkie obchodzenie się, traktowanie włościan jak sobie zupełnie równych, przestrzeganie sprawiedliwości, zakładanie wspólnych czytelni i urządzanie połączonych z niemi rozrywek i zabaw, a to wszystko bez żadnego poniżania się, stając zawsze na swojem stanowisku jako ludzi wykształceńszych, bez morałów i przymusowego narzucania wiadomości, tylko dyskutując i objaśniając: oto co możemy i co powinniśmy robić.

Podnosimy tę wielkiej wagi sprawę i mamy nadzieję, że ludzie uczciwi zechcą nas właściwie zrozumieć. Nie narzucamy naszego przekonania, tylko je otwarcie wypowiadamy z usilną prośbą do ludzi na gruncie, do ludzi codziennie z ludem obcujących, aby zechcieli w imię dobra publicznego przesyłać nam swoje w tej sprawie uwagi, które chociażby były w zupełnej sprzeczności z naszymi poglądami, jeżeli w dobrej wierze wypowiedziane przyjmiemy i pod dalszą dyskusyą ludziom dobrej woli podamy.

Sprawa jest niezmiernej wagi i nagląca, na to się każdy myślący człowiek zgodzi. Weźmy ją pod ogólną dyskusyą, roztrząśnijmy choć raz dokładnie, a może przyłożymy kamyczek do wielkiej budowy. Niech nikt nie unosi się zbytnią skromnością, ale szczerze wypowie swoje zapatrywania. Wzajemna wymiana zdań więcej się może przyczynić do rozjaśnienia sprawy jak najuczeńsze traktaty.

Oczekujemy odpowiedzi.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Łama i Włodzimierza Zagórskiego.

(Dokończenie).

— *Mais c'est charmant mon cher!* — zawołałem udając zachwycenie, podczas gdy panna Lalcia. zwinąwszy misternie ów dla niej tak drogi papierek, chowała go z nabożeństwem w swojem poetycznem archiwum. — Winszuję Ci, winszuję serdecznie! A najbardziej cieszy mnie to, że zmieniłeś twe dawne zapatrywania.

— A to w czem? — zapytał żywo Władysław.

— W tem, że jak widzę, umiesz słusznie ocenić prawdziwe uczucie... Tak jest! Bogatym jest ten, w którego sercu żyje miłość wielka, miłość bez granic, chociażby, jak mówisz, „nie miał w świecie nic a nic!"

— *Ah, que vous avez raison mon cher!* — zawołała pani Ratatyńska, rzucając mi spojrzenie pełne wyrazu wdzięczności. — Kto kocha, a szczerze, a serdecznie. ten się nie powinien na to oglądać, czy go od przedmiotu jego miłości rozdziela przepaść majątkowa, choćby największa. *Au bout du compte c'est lui, qui donne le plus!....*

— Niezawodnie! hm hm! Niezawodnie! — pospieszył potwierdzić Ratatyński. — Skrupuły w takim razie nie mają sensu! Hm hm! Słowo honoru daję, najmniejszego sensu!

— W istocie — rzekł Władysław, patrząc na mnie zdziwionym wzrokiem, i mówiąc powoli, jak gdyby przez sen. — W istocie, nie myślałem wcale, aby to z tych wierszy wypływało....

— Ależ wypływa! najoczywiściej wypływa zawołałem skwapliwie, rzucając pani Ratatyńskiej znaczące spojrzenie.

— A jednak — odparł jakby wahając się Władysław — w *Caxtonach* powiada Bulwer wyraźnie: Fly from a load upon the heart....

— Dajżeż pokój z Bulwerem Władysławie — zawołałem tonem najgłębszego przekonania. — Śliczna mi powaga! przecież go nie będziesz stawiać na równi z takim poetą jak Beranżer....

— To jest! hm hm! ja sądzę — zaczął niepokojąc się Ratatyński, który jeszcze nie dowierzał moim zamiarom.

— Ależ nie mięszaj się moj Marceli! — przerwała skwapliwie pani Ratatyńska. — Ty tego nie rozumiesz!... Kuzynek ma racyą, najzupełniejszą racyą!

I wskazała mu okiem Władysława, który spuściwszy oczy, zamyślił się głęboko, rozważając prawdopodobnie, kogo wziąć za kierownika swego dalszego postępowania: czy Bulwera, który go już tyle w życiu nabawił kłopotów, czyli też Beranżera, pod którego chorągwią mógł się wyzwolić z pod ciężącej mu tyranii Ratatyńskiego, nie tracąc nic ze swojej poetyczności.

Nawiasem mówiąc, uśmiechała mu się wielce ta nowa chorągiew, wiejąca nad bezpiecznym małżeńskim portem, dojadły mu bowiem były aż do żywego ciągłe chrząkania Ratatyńskiego, który potrafił mu był wyperswadować, iż powinien się koniecznie ożenić z Salcią, aby w ten sposób naprawić złe, które wyrządził swej familii, obdłużając swoję schedę i narażając w ten sposób szwagra i siostrę na nieuniknioną ruinę. Nie potrzebuję Panu mówić, że brutalny cokolwiek a sprytny Marceli nie szczędził Władysławowi z tego powodu wyrzutów i wymówek; wiemy przecież, że nabywając Starowolę, „poświęcił się" był Ratatyński dla swojego szwagra. *Vous concevez donc*, dla czego chrząkania Ratatyńskiego działały tak deprymująco na naszego bohatera.

Muszę tu panu jeszcze powiedzieć, że przebyte w ostatnich czasach przygody odszklanniły były już po części Władysława, szklanność ta bowiem. którą się tak lubił popisywać, nie była mu wcale wrodzoną, lecz tylko przyswojoną, i stała w diametralnem przeciwieństwie do jego charakteru i usposobienia. Bohater nasz nie był to wcale ów *justus ac tenax propositi vir*, na którego tak chętnie pozował, ale safanduła, kandydat na grubopłaskiego galicyjskiego moszczerdzieja, *Snobb*, któremu się gwałtem zachciało udawać romansowego bohatera. *En somme* był to jeden z tych w Galicyi tak popularnych typów, które mając wiecznie przed oczyma idealne jakieś zwierciadełko, poglądają w nie bez ustanku, i urządzają wszystkie swe wystąpienia w sposób taki, aby to im było do twarzy. Wysnuwszy z Bulwera *credo* swej szklanności. tak jak niegdyś wysnuł z średniowiecznych romansów Donkiszot *credo* swego błędnego rycerstwa, uwierzył był Władysław zapewnieniom pani Ptaszyńskiej, że mu z tą pozą przystojnie, i postanowił żyć i umierać dla swej szklanności. Aliści wieniec ów laurowy, który w mniemaniu naszego bohatera zdobił jego głowę, przedzidczał był, jak już wiemy, w najrzeczywistszą a bolesną cierniową koronę, którą brutalna dłoń Ratatyńskiego coraz głębiej wbijała w jego skronie. Męczeństwo stawało się co dnia nieznośniejszem, — tem nieznośniejszem, ile że w całem swem otoczeniu nie miał biedny męczennik ani jednej współczującej duszy, którąby mu dodała otuchy, zachwycając się jego szlachetnością i wytrwałością, a w miarę tego rosła z dniem każdym i pokusa.

Jeżeli więc Szklanny człowiek nie uległ był dotychczas presyi Ratatyńskiego, to tylko dla tego, że mu i wstyd i żal było zleźć ze szczudełek. na których rad stawał przed samym sobą. Nie potrzebuję zatem Panu dowodzić, że dowolna moja interpretacya Beranżera przypaść mu z pewnością musiała do smaku, była ona bowiem „złotym mostem" dla jego szklanności, terenem umożliwiającym mu transakcyą pomiędzy jego skrupułami a najgorętszem pragnieniem, słowem drogą pośrednią ułatwiającą mu honorowe wyjście z pozycyi rozpaczliwej, i łączącą możliwość nasycenia wilka z ocaleniem tak drogiej naszemu bohaterowi pozy.

Podczas gdy Władysław ciągnął w myśli paralelę pomiędzy zasadami Bulwera a Beranżera, toczyła się dalej rozpoczęta rozmowa, do której pani Ratatyńska. Malcia i ja, przyczynialiśmy się po kolei, młócąc oklepany temat miłości mniej lub więcej sentymentalnemi komunałami. Szklanny Człowiek, znacznie już udobruchany, przysłuchiwał się

tej rozmowie marząc i walcząc jeszcze z resztkami swoich skrupułów, gdy wtem zdarzył się wypadek, który ostatecznie przekonał Władysława o niezaprzeczalnej wyższości filozofii Beranżera nad teoryami angielskiego baroneta. Mianowicie zdarzyło się, iż panna Lalcia wygłaszając jakiś miłośny aforyzm, zbudowała odnośne zdanie *par le plus grand des hazards* w sposób taki, iż obydwa jego okresy rymowały z sobą jak wiersze w poczciwych kantyczkach. Nie pamiętam już dobrze tego wiekopomnego zdania, ale rym utkwił mi w pamięci: Miłości i wzajemności! *Ce n'était pas plus malin que ça!...*

Otóż zaledwie te dwa dźwięki bliźnie, a z sobą tak z częstochowska sparowane uderzyły o ucho naszego bohatera, natychmiast rozpromieniła się twarz jego wyrazem jakiejś nadzwyczajnej lubości, jakiegoś niepojętego zachwytu. Otworzył usta, i z piersią bez oddechu wlepił w Lalcię wzrok pełen czci i podziwu, wpatrując się w nią tak, jak dewotka w obraz cudowny, podczas gdy Lalcia, nieświadoma swojego niespodziewanego tryumfu, a zaniepokojona nagłem przeobrażeniem się twarzy Władysława, spuściwszy skromnie oczy, rumieniła się aż po samą szyję.

— *Mais c'est charmant!* — zawołała entuzyastycznie pani Ratatyńska, spostrzegłszy jak dalece Lalcia zaimponowała Szklannemu Człowiekowi. — *C'est charmant!* Czy uważałeś kuzynek: Lalcia zrobiła wiersz!....

Mais oui! Uważałem, uważałem — odparłem udając zdumienie, a natężając wszystkie siły, aby nie parsknąć serdecznym śmiechem!— *C'est étonnant! c'est admirable!*

— Cóż w tem tak dziwnego?— zapytała skromnie Lalcia, zaambarasowana tem niespodzianem powodzeniem. — Tak się to jakoś samo złożyło....

— Jakto? Więc pani o tem nie wiedziała? — zawołałem, udając najwyższe zdumienie.

— Nic wcale!...

— A więc pani improwizowała! *C'est encore plus surprenant!*

— *Me kes kilia de si siurprenan?* — odparła z prostotą parafianka. — Wszak to się może każdemu przytrafić.

— *Voyez-vous comme elle est ravissante!*— zawołała unosząc się pani Ratatyńska. — Taka poetyczna, a tak wolna od zarozumiałości! Chodź tu moje dziecko, niech cię ucałuję!

I patrz pan co mogą pochwały! Upojona swem powodzeniem poczęła Lalcia recytować aforyzm za aforyzmem:

> Miłość wypełnia przepaści i równa różnice,
> Wygładza góry, doły i znosi granice!

i t. d. może z jakie pięć zdań, równie głęboko pomyślanych, jak i zrymowanych misternie. Bohater nasz bujał w siódmem niebie ekstazy.

— Co za szkoda tego talentu! — szepnąłem mu półgłosem. W tak prozaicznem otoczeniu zmarnieje z pewnością. A jakby się mógł pysznie rozwinąć *dans un milieu plus ideal*, przesadzony na grunt właściwy, otoczony stosowną pieczołowitością?

— Więc sądzisz żem powinien? — zapytał mnie Władysław, wpatrując mi się w oczy roziskrzonym wzrokiem.

— Oczywiście! Oczywiście! Jako poeta powinieneś! Jestto niemal twoim honorowym obowiązkiem! Ja na twojem miejscu oświadczyłbym się natychmiast.

— Nie, nie!... nie tutaj!... Później... może w grocie i może na spacerze nad stawem — odparł skwapliwie Szklanny Człowiek, któremu do spełnienia tak ważnego aktu, potrzeba było widocznie odpowiedniej kulisy.

Aliści w niebie było napisanem, że bohater nasz obejść się będzie musiał tym razem bez gwiazd i księżyca, bez szklannego wód zwierciadła, bez woni kwiatów, szumu drzew. piosnki wietrzyka i tym podobnych poetycznych akcesoryów; odgadłszy bowiem o co rzecz idzie, a nie mogąc już dłużej hamować swej niecierpliwości, zainterweniował brutalnie Ratatyński, *sic orsus toro ab alto:*

— Et, co tam długo gadać? Ja powiadam, że w całym świecie nie znalazłby nikt i ze świecą dobrańszej pary jak Władzio i panna Eulalia.... Słowo honoru daję, żeby nie znalazł!.... Słowo uczciwości daję, że nie!..

Rubaszne te słowa tubalnym wyrzeczone głosem spłoszyły całe towarzystwo, które z wyjątkiem Lalci, Władysława i *enfant terrible* Ratatyńskiego zerwało się z miejsca tak jak stado kuropatw, i pospieszyło ku fortepianowi. Ruszywszy ramionami, i rzuciwszy mężowi gromiące spojrzenie, rozpoczęła pani Aniela wykonanie będącego wówczas *en vogue* „Karnawału weneckiego", tłukąc gorączkowo po klawiszach, podczas gdy ja, przypatrując się z udanem zajęciem stojącym w szklankach próbkom zboża, zawiązałem z Sumińskim nader zajmującą rozmowę o właściwościach saskiego żyta, nie spuszczając jednakże z oka mojego bohatera i jego Beatryczy.

Panna Lalcia zaambarasowana srodze rubasznością Ratatyńskiego, zarumieniwszy się jak piwonia, odwracała wstydliwie twarz swoję od Władysława, skubiąc *par contenance* jakąś różę z stojącego na stole bukietu wyjętą, i ogryzając jej listki, podczas gdy Władysław rumieniąc się jak mak polny, to znowu blednąc jak chusta, zbliżał się ku niej drobnemi kroczkami, kołując tak jak cietrzew na tokowisku. Kto wie jak długo trwałaby ta zabawna scena, gdyby nie nowa interwencya Ratatyńskiego, który nie mogąc już dłużej się hamować, pochwycił ramię Szklannego Człowieka, i popychając go z lekka ku Lalci, sprowadził w ten sposób ostateczną katastrofę.

We dwa miesiące później odbył się w parafialnym kościele ślub pana Władysława Habdank Podborskiego z panną Eulalią Sumińską. Miodowe miesiące przepędzili państwo młodzi za granicą, nad brzegami jeziora Leman, fantazując, robiąc sonety, madrygały, triolety *et probablement autre chose aussi.* Niebawem jednakże nastąpiła reakcya; Lalcia wróciwszy do kraju zerwała stanowczo z idealnym kierunkiem męża i zwróciła się znowu ku prozie, cielętom i innym czworonożnym zwierzętom. Nie potrzebuję panu mówić, że realistyczny zwrot ten wyszedł młodemu stadłu na pożytek, jakkolwiek równocześnie z inauguracyą tego nowego kierunku przeszedł ster małżeńskiej nawy stanowczo w ręce pani Podborskiej. Pałacowa ta rewolucya w imię pantofla podjęta, odbyła się w największym spokoju. Odziedziczywszy po śmierci ojca pół miliona ustaliła Lalcia rządy swe ostatecznie, a Szklanny Człowiek pogodził się najzupełniej z swoim losem. *Il va sans dire*, że pani Lalcia wyforytowała męża swego niebawem na powagę, czemu się pan wcale dziwić nie będziesz, gdy powiem, że państwo Podborscy mieli doskonałego kucharza i dobrze zaopatrzoną piwnicę. Szklanny Człowiek jest dzisiaj powiatowym marszałkiem, delegatem krakowskiego Towarzystwa zabezpieczeń, posłem na sejm i do rajchsratu, kędy wraz z tylu innymi szklannymi ludźmi siedzi na prawicy pana Kaisersfelda, i głosuje zawsze w myśl polityki rządu.

Koniec.

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.*)

przez

BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Trzeba więc było tylko rozdmuchać iskry nagromadzonej nienawiści, ażeby wybuchnął straszliwy pożar. Uczynili to legiści jako przedstawiciele klasy dorobkiewiczów. Przywilej, jakim się otaczała próżniacza i bezwładna rodowa szlachta, najboleśniej dotykał tę klasę, która czuła, że wykształceniem, bogactwem, sprytem, wytrwałością, wreszcie znaczeniem i wpływem społecznym zajęła przeważne stanowisko w narodzie. O ważnej roli, jaką odgrywali we Francyi przed rewolucyą adwokaci, można się przekonać z licznych faktów, przytoczonych przez Taine'a w jego historyi. Nie należy jednak mniemać, jakoby tylko same ujemne dążności parły tych ludzi ku nowemu uporządkowaniu stosunkow społecznych; byli oni szczerze przekonani o niesłuszności dawnego ustroju i z zapałem witali nowe poglądy, zwiastujące szczęśliwą erę życia ludzkości.

Głowy pracowały usilnie nad rozbiorem, krytyką; w piersiach jednocześnie wrzała chęć czynu. Pozostawały wielkie myśli i potężne pragnienia. Z ciasnego zakresu osobistych interesów podnoszono się do widnokręgu dobra społecznego. Szlachetne poruszenia brały przewagę nad poziomemi. Ludzie poczuli w sobie zmianę ku lepszemu, lecz panujący system wiązał im ręce i gniótł do ziemi. Pomimo najlepszych chęci, nie mogli prawie nic zrobić wolnomyślni mężowie stanu, co widzieli gwałtowną potrzebę reform i umieliby je przeprowadzić. Jenialny Turgot zostawszy ministrem finansów, nakreślił szeroki plan ulepszeń społecznych, wprowadzenie których mogłoby zapobiedz gwałtownemu wybuchowi rewolucji; lecz przed powszechną niemal niechęcią, z egoizmu i ciemnoty płynącą, rychło musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska i nawę polityczną wśród rozpoczynającej się burzy własnym losom pozostawić.

Poruszenie umysłowe z Francji udzieliło się całej Europie. Głównie przyczyniła się do tego literatura francuska, która śmiało uderzając na wkorzenione przesądy i czerpiące w nich siłę

*

społeczne nadużycia, odbiła się na wsze strony głośnem echem.

We Włoszech najwcześniej dają się widzieć skutki jej wpływu, grunt bowiem tameczny był już dostatecznie przygotowany do przyjęcia nowych zasad. Włosi z szczególnem zamiłowaniem zajmują się w pierwszej połowie XVIII. stul. naukami społecznemi. Pierwszy objaw opozycyjny z ich strony zwraca się także przeciwko kościołowi. W 1723. r. wychodzi w Neapolu „Historja cywilna królestwa Neapolitańskiego“ (Storia civile del regno di Napoli) Piotra Giannone'go która ściąga nieubłagane prześladowanie duchowieństwa i stolicy apostolskiej na autora. Neapol staje się nawet ogniskiem wiedzy społecznej: tu się pojawia 1725. r. dzieło historyozoficzne Vico na (Principi di una scienza nuova), zapowiadające erę panowania cywilizacyi, tu założoną zostaje w 1754. r. pierwsza katedra ekonomii politycznej dla Antoniego Genovesi'ego. Zasady teoretyczne znajdują wykonawcę w ministrze królestwa neapolitańskiego, Bernardzie Tanucci'm (1734-1776), który upraszcza i ujednostajnia prawodawstwo, ogranicza przywileje duchowieństwa i szlachty, znosi dziesięciny, zmniejsza liczbę klasztorów, zakłada i ulepsza szkoły, podnosi znaczenie sądownictwa, opiekuje się literaturą i nauką.

W podobnym duchu, lecz nie tak arbitralnie jak Bernard Tanucci, sprawował swoje rządy w Medyolańskiem hrabia de Firmian († 1782), wykształcony w zasadach nowej francuskiej filozofii. Despotyzm duchowieństwa napotkał w nim silnego przeciwnika, oświata zaś miała w nim gorliwego opiekuna. Za jego to rządów, w Medyolanie garstka młodych Włochów, pod wpływem dzieł francuskich, z zapałem oddała się badaniu nowych opinii. Duszą tego koła humanistów był Piotr Verri, który wystąpił z rozprawą potępiającą tortury. Największą jednak sławę z grona tej młodzieży pozyskał Cezary Beccaria dziełkiem swojem: „Dei delitti e delle pene“ (o przestępstwach i karach), które wywołało rewolucyą w ustawodawstwie karnem. Dziełko to pojawiło się bezimiennie w Monaco w 1764 r. Sam autor przyznaje się szczerze w liście do opata Morellet'a, który przetłumaczył owę rozprawę na język francuski, że zasady swoje zawdzięcza przeważnie nowoczesnej literaturze francuskiej. „Od pięciu lat — pisze Beccaria w 1766 r. — datuje się epoka mego nawrócenia się do filozofii, i zawdzięczam to Listom Perskim. Drugie dzieło które dokonało stanowczej rewolucji w moim umyśle, był utwor Helwecyusza. On to mię pchnął z całą siłą na drogę prawdy i pierwszy zwrócił moję uwagę na zaślepienie i nieszczęścia ludzkości. Książce: „O duchu“ winienem większą część moich myśli. „Znakomite dzieło Gastona Filangeri'ego: „La scienza della legislazione“ (nauka prawodawstwa), które pojawiło się w Neapolu 1781-1788 r. i ktore nowe kierunki wytknęło tej gałęzi wiedzy, napisane zostało także pod wpływem francuskiej myśli, a mianowicie „Ducha praw“ Monteskiusza. Nawet sam papież, Benedykt XIV. któremu Wolter poświęcił swego „Mahometa“, uznawał potęgę nowych pojęć i w części im hołdował, potępiając czynności jezuitów i przyczyniając się do rozszerzenia oświaty w swojem państwie i do usunięcia wielu nadużyć w zarządzie kościelnym.

W Hiszpanii wpływ francuskich wolnomyślnych zasad uwidocznił się głównie w działaniach króla Karola III (1759-1788) i dwóch znakomitych mężów stanu, Arandy i Campomanesa. Zespolony urodzeniem z rodziną królewską we Francyi, Karol III sympatjami swojemi lgnął do tego kraju, jego instytucyi i oświaty. Jego minister Aranda, zostający w przyjaźnych stosunkach z encyklopedystami, przejął się w Paryżu silną niechęcią do despotyzmu duchownego, czego dowiódł następnie, wypędzając Jezuitów w 1767 r. i ograniczając inkwizycyą. „Nawet utworzył był projekt zupełnego obalenia tej ostatniej instytucyi, lecz plan jego się nie udał, ponieważ przyjaciele paryscy, którym go powierzył, ogłosili go przedwcześnie *).“ Zasługi Piotra Rodryga hr. Campomanesa dla Hiszpanii czynią zeń jednego z największych jej dobroczyńców. Znakomitemi naukowemi dziełami wpływał na zmianę opinyi panujących, wykazując szkodliwe następstwa supremacyi duchowieństwa, nieprodukcyjność nagromadzonych dóbr ziemskich w posiadaniu kościoła, niesprawiedliwość przywilejów kastowych, dzikość przesądu co do pracy przemysłowej i rzemieślniczej, oraz uwydatniając korzyści, jakie oświata ludu i rozwój przemysłu przynoszą dobrobytowi krajowemu. Sprawując sumiennie obowiązki swoich urzędów, Campomanes przyczynił się potężnie do podniesienia rolnictwa — zwłaszcza Sierra Morena zawdzięcza mu głównie swoją uprawę — rozciągnął troskliwszą opiekę nad ubogimi, zmniejszając ciężar płaconych podatków i budując liczne przytułki i szpitale, oraz wprowadził ważne ulepszenia w ustroju uniwersytetów sądownictwa i poczt.

Warstwy wyższe w całej Europie w połowie XVIII stul. kształciły się na literaturze francuskiej. Z tego to powodu odznaczały się one podówczas znacznym stopniem liberalizmu. Widzieliśmy to na południu Europy, zobaczymy i na północy. Przez literaturę francuską nowe filozoficzne idee utorowały sobie drogę aż do tronów (Frydryk II. Gustaw III. Stniense za Chrystyana III. Stanisław Poniatowski, Katarzyna II.) Widoczniejszem było to w Niemczech aniżeli gdzie indziej. Frydryk II. wykształcony przez Francuzów i po francusku, dokładał wszelkich usiłowań, ażeby Berlin dorównał Paryżowi pod względem wolnomyślności. Rzetelniej i szczerzej przejął się nowymi poglądami Józef II. Z prawdziwym zapałem jął się reform w dziedzicznych swych państwach. Niepowstrzymanym potokiem płynęła jedna zmiana za drugą. Do 1783 r. wydano 276 nowych rozporządzeń. Cesarz Józef II wielostronną rozwinął czynność.“ Starał się osłabić religijny fanatyzm, ogłosił akt tolerancyjny, zmniejszył liczbę klasztorów i zakonników, 1781 r. zniósł poddaństwo w Czechach i Morawii, 1782 r. w niemieckich dziedzicznych krajach, wszędzie zaś złagodził stosunki poddańcze i położenie klas niższych, czem zjednał sobie najzupełniej gmin, mieszczan i żołnierzy **); zaprowadzał równość przed prawem i znosił karę śmierci; usuwał monopole i wspierał przemysł i handel; opiekował się rozwojem oświaty i osłabiał cenzurę. Słowem jeżeliby ten światły monarcha więcej był zważał na właściwości historyczne podległych mu narodów i nie starał się gwałtownie o polityczną jednolitość wszystkich swych posiadłości, dążenia jego reformacyjne prawdziwie błogimi uwieńczyłyby się skutkami.

*) Buckle, Histoire de la civilisation en Angleterre (traduction Baillot). 1865, str. 126. T. IV.

**) „Pamiętnik polityczny i historyczny“ (Warszawa, 1785) zawiera: „Pismo z Wiednia względem nowych odmian i reform w państwach austryackich.“ Autor z wielką pochwałą pisze o czynnościach Józefa II. „Gmin, mieszczanie, chłopi i żołnierze niewymownie kochają cesarza.“ Str. 603. Pomimo udziału rządu austryackiego w pierwszym rozbiorze Polski, nasi publicyści z drugiej połowy XVIII. stul. życzliwie się wyrażają o Józefie II. Staszic nazywa go rozumnym i czynnym monarchą.

Istotną atoli korzyść niemieckiemu narodowi przyniósł krytycyzm francuski, wywierając ożywczy wpływ na literaturę niemiecką. Thomasius rozpocząwszy walkę z dzikimi przesądami, jeden z pierwszych przeszedł do obozu wolnomyślicieli. Pod wpływem prądu myśli, niesionych z Francyi, Michaelis a następnie pociągnięty przez niego Semler krytycznie badają źródła chrześcianizmu; Michaelis uważa Mojżesza za mądrego prawodawcę, za Monteskiusza żydowskiego pod pewnym względem, Semler zaś przychodzi do przekonania, że Stary zakon nie ma nic wspólnego z Nowym, i że jakiejś nauki chrześciańskiej jednolitej nigdy nie było. Nicolai, idąc za przykładem encyklopedystów, zaczął wydawać „Powszechną niemiecką bibliotekę“ która rozszerzała wiedzę i upowszechniała wolnomyślne zasady. Lecz najwięcej zrobił w tym względzie Wieland, który przyjąwszy styl i sposób pisania od francuskich pisarzy, propagował zasady encyklopedystów a w *Agatonie* naukę Helwecyusza przyodział w grecką szatę *). Z francuskich pisarzy Rousseau przed wszystkimi innymi, od chwili pierwszego swego wystąpienia, wzbudził w Niemczech potężny interes: Lessing, Wieland, Hamann, Mendelsohn, Kant, Herder śledzą uważnie i ze współczuciem za każdym jego objawem życia **). Gorliwy ten krzewiciel demokratycznych pojęć stał się już w latach uniwersyteckich ulubionym pisarzem Frydryka Schillera i Jean Paula (Richtera). (C. d. n.)

O ARCHITEKTURZE

ODCZYT

PROF. JULIANA ZACHARIEWICZA.

(*Dokończenie.*)

Poczucie samodzielności w rządach pojedynczych prowincyj włoskich i w patrycyuszach, ich ambitna rywalizacya, jak zarówno i z wykształceniem w parze idące uszlachetnienie obyczajów w połączeniu z obudzonym zmysłem monumentalnym, spowodowały te ogółowi zrozumiałe wymagania życia, którym sztuki piękne ówczesne sprostać mogły, i którym one swój rozkwit zawdzięczają.

Historya rozkwitu sztuk w epoce odrodzenia jest wyliczeniem biografii pojedynczych artystów. Kiedy w przeszłych czasach, mianowicie w średniowiecznych, jednostka ginie w społeczeństwie i korporacye budownicze, równie jak cechy, zachowując domową tradycyą, nadają utworom wybitny charakter, odpowiadający swoim poglądom, to w czasie renesansu przedstawia się nam wolność indywidualna wybitniej w swoich utworach.

Dla tych powodów pozwolę sobie, mówiąc o rozwoju renesansu, przytoczyć szczytniejsze nazwiska tych architektów, którzy wskazują kierunek swoim następcom. Wszechstronne wykształcenie artystyczne tych mistrzów, ich wprawa w różnych sztukach pięknych, jest jedną z naj-

*) Str. 552. T. XIII. Szlossera — Dzieje powszechne Lwów, 1877.

**) Geschichte der Französischen Literatur seit Ludvig XVI. — von Julian Schmidt Leipzig, 1873. T. I. str. 33 i 34.

ważniejszych podstaw tego twórczego działania, jak i rozkwitu stylu.

I tak np. Rafael, a również Michał Anioł, dopiero później do architektury się zwrócili, kiedy już w innych sztukach pięknych stanęli u szczytu.

Filippo Brunellesco wznosi z polecenia miasta (w roku 1420) kopułę tumu florenckiego St. Maria di fiori. Dla patrycyusza stawia sławny pałac Pitti, wzór wspaniałej rezydencyi, imponującej układem mas poważnych, bez wszelkich reminiscencyi architektury feudalnej średniowiecznej. On zakłada kościół San Lorenzo we Florencyi, w którym po raz pierwszy w przeprowadzeniu porządku pilastrowego zbliża się do antyków. Podnieść tu wypada znaczenie kaplicy familii Pazzi w klasztorze Santa. Croce we Florencyi. Uczony Leo Battista Alberti kończy kościół S. Maria di Novella, tę budowę, którą później Michał Anioł nazywa swoją narzeczoną. Architektura pałacowa florentyńska w charakterystycznym układzie swoich płaszczyzn, prócz pałacu Pitti może najwznioślejszy przykład nam przedstawia w pałacu Strozzi, który Benedello da Majano budował, a Cronaco tym sławnym gzymsem ukoronował.

Wielki Bramante zbliża się najbardziej do antyków, mianowicie w swoich rzymskich utworach. Wyraża zawsze wielkość i wspaniałość przestrzeni. Jemu zawdzięczamy i kopułę kościoła S. Maria delle gracie w Mediolanie, wspaniały pomysł olbrzymiego oktogonu w tumie miasta Pavii. Jego dziełem jest, niestety tylko częściowo wykonany, projekt pałacu watykańskiego, te wspaniałe Loggie, które freskami zdobił Rafael ze swoimi uczniami. A wreszcie, jego ideą jest założenie kościoła św. Piotra w Rzymie! Ten mistrz stworzył cały szereg pałaców i kościołów w oryginalnym układzie, epokę stanowiącym. Jego godny uczeń Baldassare Peruzzi, wykonał dla kardynała Chigi, sławną wilę farnezyjską w Rzymie, która z frekami Rafaela, przedstawia nam jeden z najszczytniejszych przykładów nadobnej architektury prywatnej; tak jak jego pałace Massimi w Rzymie celują doskonałością wdzięcznego artystycznego układu.

Wybitne i szczytne stanowisko zajmuje Rafael w tym zastępie pierwszorzędnych ówczesnych architektów. On poświęcił cały rok swego tak drogocennego życia studyowaniu zabytków architektury rzymskiej — a owoce tego, złożył tak w dziełach architektonicznych jak i w malarstwie. Jemu i jego uczniom: Giovanno da Udine, Perin del Vaga i Giulio Romano zawdzięczamy dekoracye malowane na wzór epoki Cezarów, któremi wzbogacili Włochy.

Szczyt architektury pałacowej przedstawia nam Rzym w XVI. i XVII. wieku. Lazzaro Bramante rozpoczyna ten zastęp architektów tego czasu, po nim następują: Baldassare Peruzzi, Rafael, Giuliano, Antonio starszy i młodszy da San Gallo, Vignola, Vasari, i inni. Sławny budowniczy San Michele stawia w Weronie i w Wenecyi szczytnie pojęte pałace. Piazettę w Wenecyi zdobi Sansovino budową biblioteki św. Marka. W Michale Aniele widzimy w kaplicy Medyceuszów we Florencyi, w dziedzińcu pałacu Farnese w Rzymie. w pałacach na Kapitolu, wszędzie i zawsze niezrównanego mistrza w dyspozycyi mas i przestrzeni, a w kopule kościoła św. Piotra dochodzi w rozmiarach i harmonijnym układzie kopuły, do majestatu, którego urok niezatarty każdemu w pamięci pozostać musi, kto miał szczęście oglądać ten gmach olbrzymi. Vignola daje typ dla późniejszych kościołów w kościele del Gesu w Rzymie. Z późniejszych Galeazzo Alessi i Palladio na wyszczególnienie zasługują, pierwszy przedstawia nam wybitny charakter architektury pałacowej w Genui a Palladio w organizmie i rozmiarach swoich utworów jest niezrównany. Oto nazwiska wybitniejszych architektów tej złotej epoki, w której współudział dla sztuk pięknych był nie tylko patriotycznem uniesieniem, albo fałszywą pychą, ale był potrzebą życia, epoki, której później już nie widzieliśmy, której ślady podziwiać będą po wszystkie czasy!

Jakieśmy widzieli, czerpali artyści we Włoszech natchnienia u źródła t. j. z ruin Rzymu pogańskiego. Artyści innych krajów, przyjmują już te nowe utwory włoskie, jako pierwowzory i stosując je do swoich domowych potrzeb i pojęć, używają czasem w nieudolny, często malowniczy sposób, form zewnętrznych tego stylu. Ztąd pochodzą te zasadnicze różnice w traktowaniu stylu odrodzenia w różnych krajach, które nazywamy: renesansem francuskim, niemieckim, flamandzkim i. t. d. Dlatego też charakterystyczne i wybitne znamiona, cechujące pojęcia i potrzeby późniejszych czasów, które z modą francuską po Europie się rozprzestrzeniały, nazywamy odrębnemi stylami. Potęgę Francyi wyraża we wspaniałych utworach styl, który zowiemy stylem Ludwika XIV. Czas przesady i bujnej dekoracyi, styl Rococo, Ludwika XV. Z przesytu odwraca się sztuka od tej przesady w stylu Ludwika XVI. a podczas Rzeczy pospolitej i cesarstwa przechodzi, naśladując zimno pojęte zewnętrzne kształty sztuki rzymskiej, w styl zwany de l'empire.

Tak się nam przedstawia rozwój stylów architektonicznych.

Różnie tłumaczą przyczyny i podstawy tego rozwoju. Jedni są tego zdania, iż twórcza siła narodu, w danych warunkach, tak jest potężną jak n. p. u Dorejczyków być miała, iż wytwarza nowy, tak zwany grecko dorycki styl, jednem wzniesieniem myśli, niby Minerwa z głowy Jowisza w doskonałości boskiej powstająca w jednej chwili. Drudzy przypisują nawet pojedynczym osobistościom, nadającym cechę epokom dziejowym, te prerogatywy, stawiania architekturze nowych zadań, odpowiadających nowym stosunkom społecznym lub politycznym. Inni wreszcie, pojmując architekturę, tylko na podstawie zewnętrznych charakterystycznych kształtów, mniemają, że przekształcenie i wytworzenie nowego stylu jest możebne na tej drodze zewnętrznego układu mas lub motywów dekoracyjnych. Są to twierdzenia, za mało, albo za wiele tłumaczące.

Przeobrażenie życia społecznego połączone jest często z przeobrażeniem stosunków politycznych. Odnosimy zatem częstokroć, w złem zrozumieniu i ocenieniu tych czynników, rozwój stylów architektonicznych do politycznych wypadków.

Jakeśmy poprzednio już mówili, cały szereg czynników, składa się na wytworzenie z jednej strony nowych potrzeb, nowych poglądów, tak jak z drugiej strony nastręczają się nowe warunki do zadosyć uczynienia tym wymaganiom. Jak byt polityczny, nie jest jedyną podstawą dla rozwinięcia ducha narodu, tak też zaprzeczyć nie można, iż postęp w naukach przyrodniczych, rozszerzenie wiedzy, nowy sposób wyrabiania i przerabiania materyałów do użytku, jednem słowem, z nauk wynikające zdobycze wiedzy ludzkiej, wreszcie tradycya, muszą mieć i mają współudział, obok twórczej potęgi idei i poczucia dla piękna. Wynik współudziału tych wszystkich czynników jest właśnie podstawą do tworzenia nowych kształtów, to jest, nowego stylu, który odpowiada nowym warunkom. A ponieważ przekształcenie stosunków społecznych opiera się także na tych samych podstawach, dlatego też architektura jest w utworach swoich, jak i wpływie swoim na inne sztuki i rękodzieła przedstawicielką par excellence kultury ludzkiej. Lecz rozwój ten musi być naturalny. Silna wola jednostek rzadko kiedy zdoła przyspieszyć ten rozwój Widzimy iż zdobycze w naukach i technice najnowszego czasu, jak i przekształcenie stosunków społecznych, nie znalazły dotychczas jednolitego nowego wyrazu w architekturze.

Ztąd zarzut z jednej strony a z drugiej wysilenia, zwykle bezowocne. Bezowocnemi są może dla tego, iż nasze wymagania, nasze zapatrywania, nasze ideały, jednem słowem, nasza cywilizacya teraźniejsza nie jest zawisłą jedynie tylko od bytu politycznego pojedyńczych członków ludzkości. A przez zaszłe zmiany polityczne, ta cywilizacya nie została z drogi postępu zepchniętą tak — ażebyśmy zaprzeć się mieli naszych dotychczasowych ideałów. Zmiana w stosunku jednostek do całego społeczeństwa nastąpiła, i to zasadnicza, ale ta zmiana wyraża się już w teraźniejszej architekturze — lubo nie w tak jednolitej formie, jak to nam teraz po przejściu całych epok dziejowych style się przedstawiają.

Przypatrzmy się, w jak odrębny sposób rozwija się mianowicie prywatna architektura w pojedyńczych częściach Europy, hołdującej jednej i tej samej francuskiej modzie. Jak tutaj odbija się niejako duch familijny tego społeczeństwa. Ile postępu i charakterystycznych właściwości spostrzegamy — a to pomimo niepewnego eklektycznego postępowania teraźniejszych architektów. W tych warunkach właśnie, mojem zdaniem, leży zaród rozwoju, którego ślady widzimy. Nabiera on kształtów, których my, stojąc pośród tych różnorodnych prądów, przejrzeć jeszcze nie zdołaliśmy.

Przykłady z historyi teraźniejszych czasów i narodów pouczają nas właśnie, że siła fizyczna nie jest jedyną, nie jest nawet przeważną dźwignią do rozwinięcia tego ducha narodu, który się wyraża w sztukach pięknych.

Pouczają nas, że naród, który wyrazy tego ducha posiada i rozumie je, nigdy nie ginie.

UCIECZKA WIĘŹNIA STANU.

przez J. S. S.

(Ciąg dalszy.)

Przygotowawszy wszystko, Dąbrowski doniósł Rządowi Narodowemu o szczegółach planu swego, żądając żeby rząd zrobił rozporządzenie o zbliżeniu się jednego z prowincyonalnych oddziałów powstańczych w dzień Wielkanocy ku cytadeli. Wszyscy więźniowie, wierząc w genialność Dąbrowskiego i jego niezłomną energię, oddali się mu bezwarunkowo, obiecując punktualnie spełnić wszystkie jego rozkazy, tem więcej, że dla przeważnej części ich nie było wyboru, bo czekała ich śmierć lub wieczna katorżna robota.

Lecz tu zaszedł wypadek niespodziewany, a przecież tak często powtarzający się w historyi naszego narodu. Gadulstwo nasze zepsuło plan cały. Rząd Narodowy zamiast tego, żeby dla zachowania największej tajemnicy nakazać jednemu z oddziałów operujących w północnej stronie Warszawy współdziałać więźniom, polecił utworzyć oddział w samej stolicy, z tak zwanych „dzieci warszawskich," polecając im spełnienie tego tak ważnego przedsięwzięcia. Gotowanie się do wyprawy tylu ludzi, nie mogło ujść baczności oka policyi moskiewskiej, a chociaż o planie nic się nie dowiedziała, jednak doleciało do niej słów kilka: cytadela, Wielkanoc.... Wskutek tego na głównym posterunku w cytadeli zamiast jednej roty postawiono półbataliona, a w dzień Wielkiejnocy nakazano być niezmiernie ostrożnymi, zwiększyć baczność na więźni i żołnierzom nie pozwolić pić wódki.

Wprawdzie oddział „dzieci Warszawskich" wyszedł z miasta, uformował się na północy i zbliżył się do cytadeli, lecz Moskale śledząc co się w tej stronie działo, wysłali przeciw niemu znaczne siły i pomimo zaciętej walki rozbili oddział i rozprószyli go jeszcze przed Wielkanocą.

O tej porażce i o wzmocnieniu wart w cytadeli Rząd narodowy natychmiast uwiadomił Dąbrowskiego. Plan został zwichnięty, gdyż szaleństwem by było odważyć się na powstanie w więzieniu bez żadnej nadziei na powodzenie. Dąbrowski musiał dać rozkaz powstrzymania się ze wszelkiemi nakazanemi czynnościami, aż do chwili stosowniejszej. Lecz chwila ta nie nadeszła, gdyż w tym czasie zapadł wyrok, skazujący Dąbrowskiego na rozstrzelanie.

Zastanawiając się nad tym planem nie możemy go nazwać szaleństwem. Historya ludzkości przekonywa, że najdziwaczniejsze pomysły udawały się właśnie dla tego, że nikt się tego nie spodziewał, nikt nie mógł przewidzieć. Owszem najmocniej wierzymy, że gdyby ten plan genjalnie obmyślany, został uskuteczniony udałby się niechybnie i pozwoliłby w historyi naszej wpisać jeszcze jednę krwawą, lecz sławną kartkę..

Jenerał Trepów dotrzymał obietnicy. Dowiedziawszy się o dniu konfirmacyi wyroku, udał się do namiestnika i przedstawiając mu różne dzienniki cudzoziemskie, w których z największym oburzeniem mówiono o barbarzyństwach Moskali i pastwieniu się ich nad Polakami rzekł: „Ekscellencyo, nie podpisuj tego wyroku śmierci, zamień go raczej na roboty w minach na całe życie; jest to człowiek wątłego zdrowia, który zginie po roku lub dwóch ciężkiej pracy, a Wasza Ekscellencya nie dasz powodu do nowych krzyków i rekryminacyi dziennikom obcokrajowym, które ośmielają się porównywać Waszą Ekscellencyą z jenerałem Murawiewem. Berg, który miał wstręt do tego porównania, usłuchał rady i Dąbrowski został skazany na pozbawienie rangi, orderów, praw stanu i na 20 lat do katorżnej roboty.

Na tydzień przed tem zapadł już wyrok na panią Dąbrowską i jej ciotkę. Za przechowywanie rewolucyjnych papierów obie te kobiety zostały skazane na wywiezienie z kraju i osiedlenie w mieście Włodzimierzu nad Klaźmą. Biednym kobietom zaledwo dali czas wybrać się w drogę, tak spiesznie było *Moskalom* pozbyć się ich z Warszawy.

Z początkiem wiosny 1864 partya skazańców wyruszyła na Wschód dążąc do oddalonego Sybiru. W partyi tej znajdowało się wiele kobiet, wiele niedorostków, którzy nie dościgli jeszcze lat młodzieńczych, kilku księży a nareszcie Dąbrowski. Dobry humor, energia, wesołe usposobienie i pewność siebie, nie porzucały go ani na chwilę. Więzień nie skrywał się przed współkolegami losu i odzywał się nieraz, że postara się uciec, jak tylko przedstawi się mu jakakolwiek możność.

Wychowany w kadeckim korpusie, gdzie za młodu pod ferułą wojskowej dyscypliny niszczą się zarodki najpiękniejszych uczuć młodzieńczych, Dąbrowski zapatrywał się na stosunki ludzkie z punktu widzenia ludzi praktycznych, to jest wierzył tylko w interes, wiążący ludzi, a poświęcenie bez interesu żadnego, uważał za rzecz niebywałą lub tak rzadką i wyjątkową, że nigdy nie przyjmował go w rachubę. Pochód na Sybir pogodził go z ludźmi. Na trzecim czy czwartym noclegu, przystąpił do niego chłopiec lat czternastu, jeszcze dziecko zupełne, i prosił go nieśmiało o chwilę rozmowy. „Panie, rzekł do niego, słyszałem, że chcesz próbować ucieczki; wiem jaką rolę odegrywałeś w powstaniu, wiem że życie twoje potrzebne jest dla kraju, i dla tego proszę przyjąć odemnie te 200 rubli, które mi matka wsunęła do rąk przy ostatniem pożegnaniu; mnie nic nie potrzeba, ja nic bardzo pożytecznego zrobić nie mogę, więc obejdę się bez wszystkiego; ty zaś panie uciekając będziesz miał potrzebę pieniędzy; niech ci więc służą." Dąbrowski był wzruszony do głębi duszy; ze łzą w oku podziękował, uścisnąwszy rękę dziecka, lecz nie przyjął ofiary, bo miał kilkaset rubli chowanych między podwójnemi podeszwami butów. Na następnym noclegu przystąpił do niego staruszek ksiądz i wsunął mu do rąk 150 rubli. „Weź, rzekł, jam stary, mnie już nie wiele żyć pozostaje, obejdę się bez nich, ty zaś potrzebujesz do ucieczki; weź i nie odmawiaj, bo zrobisz mi przykrość największą." Na nic się nie zdały protestacye Dąbrowskiego. Staruszek rozgniewany ofuknął go za dumę i zarozumiałość i zmusił do przyjęcia pieniędzy.

Nie będziemy opisywać podróży przez Rossyą. Był to czas kiedy Katków, ten wielki kapłan Murawiewa, pijany krwią, którą bóstwo jego przelewało z pianą na ustach rzucał się wściekle na wszystko co było polskie, głosząc w dzienniku swoim, czytanym w całej Moskwie, że Polacy są podpalacze, zbójcy, zbrodniarze... Pospólstwo oczytawszy się tych potwarzy spotykało partye więźniów polskich przekleństwem, obelgą i złośliwością. Współczucia nie znajdywali nigdzie nieszczęśliwi skazańcy. Opis podróży etapami na Sybir dali nam ci, co wrócili z tej ziemi przekleństwa; nie będziemy więc powtarzać tego. W każdym etapie więźniowie na noc lokowali się na tak zwanych narach czyli pryczach w jednej wielkiej sali. Polacy po przyjściu na nocleg zwykle siłą brali jeden z kątów sali, żeby tam nie ulokowali się pospolici zbrodniarze, pędzeni z nimi na Sybir i urządzali rodzaj namiotu dla kobiet polskich, które szły z partyą, żeby oszczędzić delikatność niewieścią i usunąć je od widoku wstrętnych rzeczy, dziejących się w każdem zgromadzeniu wyrzutków społeczeństwa, których obecność niewiast nie wstrzyma nigdy od wyskoków wyrafinowanej rozpusty i rozbestwienia.

Na każdej stacyi, w każdym domu etapowym Dąbrowski opatrywał miejscowość, badał okna, podwórza, częstokoły w zamiarze ucieczki, lecz nigdy nie mógł znaleść zręczności do wypróbowania szczęścia. Tak ubiegał dzień za dniem; partya zbliżała się do Moskwy. Dąbrowski nie wiedział gdzie zesłano żonę jego, a tylko słyszał że do jakiegoś miasta, leżącego za Moskwą. Należało więc pospieszyć z ucieczką, bo w wypadku gdyby przechodził przez miasto, gdzie się żona jego znajdowała, mogła ona uprosić o pozwolenie iść z nim razem na Sybir, a wtedy ucieczka stałaby się niemożliwą, bo Dąbrowski nie porzuciłby żony swojej na zemstę rozwścieklonych ucieczką jego Moskali. Wszystkie więc myśli jego, wszystkie siły były wytężone do jednego celu — do jak najprędszego odzyskania swobody.

Znajdując się na czele listy jako największy przestępca, był zawsze najbaczniej strzeżony, a gdy nadzorcom zdawało się, że więzienie ogólne nie jest dość bezpieczne dla takiego wielkiego zbrodniarza, osadzali go na noclegach w osobnej celi osamotnionego.

Tak się też zdarzyło na jednym z etapów na kilka stacyj przed Moskwą. Rozpatrując się w celce swojej i robiąc różne kombinacye, zmęczony marszem, Dąbrowski usiadł na łóżku i siedząc zaczął drzemać. W tem ucho przywykłe do szmerów więziennych usłyszało z sąsiedniej celi wystukane zapytanie: „kto jesteś?" Więzień zerwał się natychmiast i odstukał: „Dąbrowski, a ty kto?" Sąsiad odstukał mu nieznane moskiewskie nazwisko, z dodatkiem, iż siedzi obwiniony o wspólnictwo z nim. Rozciekawiony Dąbrowski prosił, żeby ten objaśnił jakim to stało się sposobem, kiedy on go nie zna nawet. Nieznajomy odrzekł: „Żyjąc w Smoleńsku miałem kochankę, którą porzuciłem. Z zemsty doniosła na mnie Murawiewowi, że byłem z tobą w ciągłych stosunkach; za to mnie uwięziono, a potem zesłano na Sybir; w więzieniu wileńskiem nauczyłem się języka więźniów za pomocą stukania. Po wywiezieniu dawna kochanka poczuła zgryzoty sumienia i zeznała powtórnie, że donos fałszywy zrobiła z zemsty. Jestem zatrzymany w drodze i uwiadomiono mnie, iż wkrótce będę wolny. Zdaje mi się, że jutro przyjdzie rozkaz uwolnienia. A ty na jak długo jesteś skazany?

— Na dwadzieścia lat katorżnych robót — odpowiedział Dąbrowski.

— Cóż myślisz robić?

— Uciec z drogi.

— A czy masz znajomych w Moskwie.

— Nie mam.

— Więc ja ci dam adres poczciwych ludzi.

Dąbrowski nadstawił ucha.

— W Moskwie udaj się do biblioteki publicznej na takiej to ulicy i tam zapytaj o panią N., która jest niezmiernie zacną osobą. Poproś ją o udzielenie ci do czytania drugiego tomu historyi Karamzina; ona będzie wiedzieć co to ma znaczyć, bo ja ją uprzedzę i ukryje cię.

Dąbrowski podziękował i adres ten dobrze zachował w pamięci.

Wkrótce partya przybyła do Moskwy. Więźniów policzono i oświadczono, że tym, co są zmęczeni marszem dadzą dniówkę, żeby wypoczęli. Ostróg więzienny był otoczony wysokim murem. Nadzorca więzienia mieszkał w osobnym domu znajdującym się niedaleko od furty wiodącej do więzienia. Dąbrowski obejrzawszy miejscowość zdecydował się tu właśnie próbować ucieczki i ułożył plan jej. Jedna z Polek, idąca na Sybir, darowała mu jakąś kolorową spodnicę, a druga czerwoną chustkę; w więzieniu zaś u aresztantki moskiewskiej kupił kożuszek mały zwany ogrzejduszką. Za pomocą scyzoryka ogolił mały zarost twarzy,

a że był małego wzrostu, wyglądał jak dziecko, przebranie się za kobietę było bardzo łatwe.

Więźniom, którzy mieli pieniądze, pozwolono dla pokrzepienia się kupić wódki, którą sprzedawał u siebie nadzorca więzienia. Na tej okoliczności oparł Dąbrowski plan ucieczki swojej. Przed dwónastą, kiedy mieli iść na wódkę, włożył spodnicę i podjąwszy ją schował pod kożuszek a czerwoną chustkę włożył za nadrze. Z jednym ze współwięźniów ułożył się, że ten weźmie płaszcz jego i czapkę w chwili gdy te staną się mu niepotrzebne. (C. d. n)

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

Kolizya uczuć, powodująca wyjątkowe podniecenie fantazyi, mimo tego, że składniki jej są różnorodne, w rezultacie swym *jest zawsze przyjemną*. I to stanowi dalszą charakterystyczną cechę natchnienia, która jednak może się wydać dziwną, po tem cośmy wyżej powiedzieli. Jeśli na tle smutnego usposobienia poety, pod wpływem wrażeń zadawalniających jego miłość własną, obudzą się uczucia przyjemne, to nic dziwnego, że uczucia te przez kontrast wydadzą się jeszcze silniejszemi — ale jakim sposobem w przeciwnym wypadku może być ten sam rezultat?

Otóż tę trudność wyjaśnia nam następująca okoliczność:

Wrażenia przykre, trafiające na usposobienie wesołe, tylko wtedy wywołują natchnienie, jeśli równie jak poprzednie działają na miłość własną i jeśli ta miłość, przybierająca tutaj postać wiary w siebie, poczucia talentu, jest dość silną, ażeby nie tylko nie ugiąć się pod naciskiem wrażenia przykrego, ale owszem znaleźć w nim bodziec do energiczniejszego przejawu. A skoro tylko nastąpi podniecenie działalności umysłowej i wprawienie w ruch fantazyi, to taki stan będzie i musi być przyjemnym—jest bowiem prawem psychologicznem (którego w tej chwili bliżej motywować nie mogę), że *każde podniecenie funkcyi bez naruszenia ogólnej równowagi rodzi przyjemność* — podczas gdy przeciwnie *każde przytłumienie funkcyi lub podniecenie jej, ale z naruszeniem równowagi, rodzi przykrość.*

Na tej to zasadzie ostateczny wynik zmieszania się uczuć przyjemnych z przykremi podniecając siły woli i fantazyi—staje się źródłem zadowolenia, które artyście nieraz najcięższą dolę życia osładza. A zadowolenie to wzrasta w miarę szczęśliwego rozwijania się procesu twórczości; tu bowiem poeta znajduje to, czego mu życie dać nie może, znajduje zaspokojenie swoich indywidualnych pragnień estetycznych, wzmacnia wiarę w siebie, co chwila czegoś szuka i co chwila coś znajduje, niespodzianie, często jakby przez błysk jakiś czarodziejski, pokonywa przeszkody, ogląda i podziwia nową kombinacyą, tem więcej, iż czuje, że to jego własny utwór, dziecko jego ducha. Jest w twórczości poetyckiej rodzaj macierzyńskiego uczucia, tem zrozumialszego, że duch rodzi w roskoszy, podczas gdy ciało w boleści.

O! anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie!

woła Krasiński — a Deotyma w swoich Sonetach do oblubieńca wypowiada swój zachwyt temi słowy:

O jakże serce takich godzin czeka!
O nieba! czemuż tak rzadkie są chwile,
W których natchnienie nawiedza człowieka?

„Z przyjemności czysto umysłowych, jakie znam, najsilniejszą jest ta, która towarzyszy twórczości literackiej.“ „Do najmilszych chwil w mojem życiu liczę te, w których swobodnie i z zapałem rozmyślałem nad nową jaką pracą. Chód wtedy stawał się przyśpieszonym, czułem jak mnie coś unosiło lub wstrzymywało nagle, gdym na jaką wątpliwość natrafił; policzki rozgrzewały się, serce biło silniej i wszystkie muszkuły mniej lub więcej wyraźnie pracowały w takt z myślami *).“ „Moore w pamiętnikach swoich o Byronie powiedział, że nie ma takiego szczęścia na ziemi, któreby się porównać dało z tem uczuciem, jakiego doznaje człowiek w chwili tworzenia nowego pomysłu, że ta kreacya umysłowa jest najwyższym szczeblem rozkoszy intellektualnej, roskoszy prawdziwie boskiej. Rodzi tę roskosz natchnienie, będące samo przez się najwyższem uczuciem w człowieku **)...“

Ale nie na tem koniec właściwości natchnienia. Sięgnąwszy nieco głębiej, znajdziemy nową cechę, która nadto ułatwi nam zrozumienie poprzednich. Tą cechą jest udział *skojarzeń bezwiednych*. One to tłumaczą nam w znacznej części mimowolność natchnienia, czyli jego zupełną prawie niezależność od woli, a natomiast tak wielką zależność od niedostrzegalnych wpływów miejsca i czasu i od utajonego wpływu uczuć. Rozebrawszy składniki natchnienia, możemy nawet wprost powiedzieć, że bez udziału wyobrażeń bezwiednych byłoby ono niemożliwem.

Każde wyobrażenie, ażeby być świadomem potrzebuje na to pewnego czasu i wrażenia zbyt szybko po sobie następujące nie mogą wytworzyć odrębnych wyobrażeń świadomych — a tak samo jak przy tworzeniu, tak i przy odtwarzaniu się wyobrażeń, jeżeli szeregi ich przebiegają zbyt szybko, w takim razie wyobrażenia słabsze, bledsze zacierają się wzajemnie, a natomiast te, które są silniejsze (w skutek odżywienia ich przez odpowiednie wrażenia) występują jaśniej i wyraziściej Już to w ogóle, jak np. przy objawach *uwagi*, jeżeli czynność umysłowa potęguje się w jednym kierunku, to musi słabnąć w drugim, ponieważ czynność fizyologiczna podniecona opanowywa cały mózg, nie dopuszczając innych, obcych budzących się czynności, do zupełnego przejawu. Tu zaś mamy właśnie taki przypadek, że wyobrażenia przepływają szybciej (ztąd ich *ulotność*) i zarazem występują silniej (zkąd pochodzi ich *wyrazistość* niekiedy dochodząca do halucynacyi). Jeżli zaś wyobrażenia przepływają szybciej i pewna ich liczba jest spotęgowaną — to tem samem dla innych nie pozostanie dość czasu, ażeby się stały świadomemi i te pozostają bezwiedn. Symbolicznie możemy to sobie tak przedstawić:

Przypuśćmy, że w spokojnym stanie pewnego umysłu przepływają przezeń głównie dwa łańcuchy asocyacyj, z których jeden przedstawimy sobie literami, drugi liczbami. Gdyby ten przebieg pozostał normalnym, to jest, gdyby na każde wyobrażenie mógł być czas odpowiedni, to łańcuchy te przedstawiłyby się w tej formie:

A, B, C, D, E, F, G, H, I, K i t. d.
1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, i t. d.

Tymczasem wskutek tego, że fantazya jest podniecona (przez uczucia i wrażenia uczuciowe) łańcuch ten przepływa szybciej. Teoretycznie mógłby być wówczas taki rezultat, że wszystkie wyobrażenia przepływałyby szybciej, a tem samem posiadając mniej czasu, byłyby też wszystkie zarówno mniej jasne. Lecz praktycznie taki wypadek jest niemożliwym; ponieważ szybszy ruch ma miejsce tylko przy podnieceniu fantazyi, podniecenie zaś jest możliwe tylko przy współudziale wrażeń uczuciowych, a wrażenia uczuciowe nie mogą dotyczyć odrazu wszystkich wyobrażeń dążących do reprodukcyi, lecz tylko pewnej ich części. Poecie przypomina się salon, w którym poznał kochankę i to wspomnienie rozrzewnia go; obraz kochanki staje jasno przed oczyma duszy, niemal słyszy jej słowa, czuje dotknięcie ręki — a tymczasem skojarzone z temi wyobrażeniami na zasadzie współczesności wyobrażenia mnóstwa innych osób i ich rozmów, chociaż wdzierają się do świadomości przez związek mechaniczny, ale są odtrącane i schodzą na plan drugi, trzeci itd. Wskutek więc wpływu uczuć i podniecenia fantazyi, łańcuchy wyobrażeń przedstawią się tak:

A, b, c, **D**, e, **F**, **G**, h, i, **K** itp.
1, **2**, **3**, 4, **5**, 6, 7, **8**, **9**, 10 itp.

to znaczy, że o ile wyobrażenia będące w związku z wrażeniami uczuciowemi i uczuciami zyskują na jasności, o tyle reszta straci; a jeśli ta strata będzie znaczniejszą, wówczas wyobrażenia przejściowe staną się bezwiednemi, czyli dla świadomości będą równe zeru:

A . . D . F, G . . K
. 2, 3 . 5 . . 8, 9 .

W ten tylko sposób fantazya może tworzyć *nowe* zestawienia, nowe kombinacye, i to nam objaśnia zarówno oryginalność jej produkcyj, jak i wrażenie *niespodzianki* dla poety, który nie mogąc odczuć tajemniczych ogniw barwistego łańcucha swoich marzeń, przypisuje ich treść natchnieniu z zewnątrz, promieniowi światła, który spada z nieba.

„Prawdziwy poeta, mówi Maudsley, ma świadomość tylko wyrazów — myśli zaś z tajemniczej głębi wypływają.“ Ale zdanie to jest słusznem tylko w części. Nie można rozdzielać w ten sposób myśli i wyrazów; zarówno bowiem jedne jak drugie mogą być świadome lub bezwiedne. To tylko jest pewnem, że w chwili twórczego natchnienia, A może się znaleść niespodzianie obok D i czy to będzie wyraz czy obraz, poeta uczuje jego nowość, jego niespodziewaność, ponieważ ogniw przejściowych: b, c, czuć nie może. A tymczasem ponieważ w całym tym mechanizmie zamiast pospolitych sprężyn powszedniego życia i towarzyskich powierzchownych nałogów, występują siły głębsze, bo na przyrodzonych prawach natury ludzkiej, na całożyciowem doświadczeniu jednostki oparte, a poczuciem ideału rozbudzone, od wszelkich konwencyonalnych formułek wolne, nic więc dziwnego, że takiemi siłami kierowana myśl poety, tworzy rzeczy wielkie, wzniosłe i głębokie.

„Tak w życiu, jak w sztuce, mówi Libelt, to właśnie jest najwznioślejszem i najpotężniejszem, o czem człowiek w chwili działania i tworzenia nie wie. Ktoby chciał wielkość, wzniosłość lub piękność tworzyć, nie stworzy jej, bo ona się

*) Z dziennika Psychologa. Warszawa 1876 — str. 222.

**) Libelt, Estetyka. Petersburg. 1854. T. I. str. 28.

sama tworzy.“ A na innem miejscu dodaje: „Czem w przyrodzeniu jest działanie praw natury, w zwierzętach działanie instynktowe, tem w sztukmistrzu jest działanie gieniuszu, samotwórczością, bez poprzedniej wiedzy i woli.“ Te bowiem wyobrażenia, które pozostają bezwiednemi, *dla świadomości* tylko nie istnieją, w gruncie zaś rzeczy nietylko istnieją, ale nawet najczynniejszą w twórczości rolę odgrywają. W kombinacyi **G**, h, i, **K**, **K** nie byłoby przyszło do świadomosci, gdyby nie h, i, które je kosztem własnej indywidualności do bytu powołały, sprawiając, że po G nastąpiło K, nie zaś A lub F — że więc mimo nowości kombinacyi nie przewrócono porządku zjawisk.

Nie należy też zapominać, że olbrzymią większość naszych czynności stanowią czynności bezwiedne. Przejawy świadomości są tylko drobnemi gwiazdkami rozsypanemi na ciemnem tle nocy, owo zaś tło bezwiedne jest niezbędną podstawą dla przejawów świadomości — one na niej dopiero wyosobnić się i rozwinąć mogą. Mechanizm dziedziczny, nałogi, przyzwyczajenia i wprawy nabyte, mimowolnie utajone asocyacye, niedostrzegalnie drobne, lecz ciągle czynne wrażenia, owe *perceptions imperceptibles* Leibnitza — wszystko to było już i działało tam, gdzie się zaczęły przejawiać wyższe stopnie świadomości — a geniusz leży właśnie nie w tem, co człowiek jasną lecz mozolną drogą rozumowania zdobędzie, ale w tem, co ów ciemny mechanizm do świadomych kombinacyj dorzuci.

„Szekspir — mówi Carlyle — jest tem, cobym mógł nazwać bezwiednym rozumem, mieści się w nim bowiem nierównie więcej dobrego, aniżeli się sam spodziewał. Jego dramata są produktami natury, tak głębokiemi jak ona. Jest to najwyższą nagrodą przyrody dla prostej, prawdziwej, wielkiej duszy, że sama ona jest częścią tej przyrody. Dzieła takiego człowieka, chociażby nie wiem ile świadomą, przemyślaną pracą osiągnął, wyrastają w nim bezwiednie z nieznanej głębi, jak wyrasta dąb z głębi ziemi, jak samowolnie góry i wody powstają.

Wspomniałem już, że wyobrażenia, które w podniosłym stanie umysłu kosztem innych dochodzą do świadomości, są wyjątkowo jasne i *wyraziste*. A są to bardzo często te wyobrażenia, które w stanie normalnym rzadko dochodziły do świadomości, ponieważ były tłumione przez inne obce im a dla nas w codziennem życiu ważniejsze pobudki. Tak np. typy ludzi z którymi żyjemy, ich przyzwyczajenia, charakter głosu i t. p. cechy, wszystko to wskutek częstości powtarzania i podrzędnego znaczenia dla naszych stosunków życiowych bywa prześlepiane lub zapominane, tymczasem w chwili twórczego podniecenia myśli, u powieściopisarza, w chwili kiedy umysł nie jest zasypywany codziennemi wrażeniami — szczegóły te budzą się do życia i nieraz autor bezwiednie odtwarza typy znajome, albo też kombinuje jeden z drugim, niespostrzegając, że materyał do tego bierze z własnego machinalnego doświadczenia. W chwili natchnienia, podobniejak w marzeniu sennem, budzą się wyraziście najbardziej typowe cechy charakterów, i powieściopisarz lub dramaturg daje nam obrazy głęboko prawdziwe, psychologiczne — chociażby o psychologii, o prawach rządzących uczuciami i charakterami najmniejszego w świadomości swej niemiał pojęcia.

Tę właściwość fantazyi w marzeniu ściśle twórczem zarówno jak i w marzeniu sennem bezładnem, trafnie maluje Jan Paweł Rychter w przypisku do jednego ze swoich listów *O marzeniach:*

„Sen jest mimowolną twórczością poetycką i świadczy o tem, że poeta cielesnym swym mózgiem więcej pracuje niż człowiek pospolity. Dlaczego nikt się dotychczas nie dziwił temu, że w owych *scènes détachées* marzenia sennego, jak Szekspir jaki, nadaje osobom o których marzy, najwłaściwszą im mowę, najwyrazistsze charakterystyczne dla nich wyrazy i zwroty, albo raczej, że one mu te swoje właściwości poddają? Podobnież prawdziwy poeta i przy pisaniu jest słuchaczem, nie zaś nauczycielem języka swoich bohaterów, to znaczy, że nie składa on ich mowy na podstawie pracowicie wyuczonej stylistyki ludzkich charakterów, lecz tylko przysłuchuje się im, przygląda się im żywo, podobnie jak we śnie, i wówczas słyszy je. Spostrzeżenie Victora, że wymarzony przeciwnik czynił mu często cięższe zarzuty, niż krytyk prawdziwy, potwierdzają także obserwacye dramaturgów, którzy przed natchnieniem w żaden sposób nie mogliby być suflerami trupy swoich bohaterów, podczas gdy w natchnieniu tak łatwo stają się autorami ich roli. Że figury snów naszych nieraz zadziwiają nas swemi odpowiedziami, chociaż sami je im nadajemy — jest rzeczą naturalną; i na jawie, myśli, które niby wysileniem umysłowem sprowadzamy, wyskakują nagle, jak iskry; lecz we śnie brak nam świadomości tego wysilenia, musimy więc tę myśl wraz z wysileniem wymarzonej postaci przypisać.“

Wyrazistość wyobrażeń w procesie natchnienia staje się nieraz tak wielką, że przechodzi formalnie w halucynacyą. Autor poprostu *widzi* przed sobą osoby których akcyą opisuje, *słyszy* ich głosy, *czuje* dotknięcie, jakby na jawie. Halucynacye są w ogóle bardzo pospolite u ludzi z wyższą fantazyą*); zachodzi jednak pewna różnica pomiędzy halucynacyą chorobliwą a artystyczną; ta ostatnia nie jest nigdy tak *silną, uporczywą i narzucającą się* jak pierwsza a przytem, jako podniecenie fantazyi nie przechodzące granic równowagi, nie jest nigdy *przykrą*, lecz owszem przyjemną.

Gustaw Flaubert utalentowany realista nowszej szkoły francuzkich powieściopisarzów tak się wyraża w liście do Taine'a: „Nie bierz pan za jedno wewnętrznego widzenia artysty z widzeniem człowieka, który naprawdę halucynacyi podlega. Znam doskonale oba te stany — między niemi leży przepaść. We właściwej halucynacyi doznajemy zawsze strachu; czujemy, że osobistość nasza wymyka się nam, zdaje nam się, że zamieramy. W widzeniu poetycznem, przeciwnie, doznajemy radości; coś jakby w nas wchodziło, ale i to prawda, że nie wiemy, gdzie się znajdujemy. Częstokroć widzenie to powstaje powoli, cząstka po cząstce, jak różne części dekoracyi, którą stawiają; ale często też jest ono nagłe, ulotne, jak halucynacye senne. Przemyka ci się przed oczyma coś, co powinieneś rączo pochwycić.*)“

Wyrazistość obrazów fantazyi wzrasta wraz ze stopniem jej podniecenia, ale jednocześnie też coraz bardziej zatraca się między niemi związek logiczny i poeta tworzy koncepcye szalone, chaotyczne, przerażające wrażliwych czytelników a dla mniej wrażliwych niedostępne. Tu dopiero geniusz przechodzi prawdziwą próbę ognia. Nadmierna bujność i wyrazistość obrazów stanie się tylko nierozsądną i śmieszną — albo też mimo całego rozkiełzania fantazya poety zdoła utrzymać się w granicach toru poetyckiego i obudzi tylko uczucie grozy, wzniosłości, ogromu, przerażenia, demonicznej potęgi.

Taką cechę noszą na sobie najszaleńsze i i najmniej zrozumiałe strofy Słowackiego. Oto przykład:

Wtenczas tę walkę we mnie Bóg wnaturzył;
We mnie krzyk, we mnie blask i mieczów rżnięcie,
We mnie się obłok zakrwawiony kurzył,
We mnie szło z pola trupów ducha wzięcie...
A jam zacierpiał jak szatan — i schórzył,
W iskrze duchowej niby w dyamencie
Mając boleści różnych tajemnice,
Kolory, krzyki, jęki, błyskawice.

. . . .

Na mojem sercu, jak na złotej tarczy
Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy.
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
I sto aniołów upada bez duszy,
Myśląc, że serce za wszystko wystarczy,
Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy!
A ja co? Anioł na dnie mgieł czerwonych,
Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

. . . .

Znowu schórzony, i sam — a już nizko,
Uczułem, że się w czemś zwiniętem płączę,
Że oczom moim ciemno — nogom ślizko,
A do ucieczki ciągną chęci rącze.
Wszedłem na jakieś strasznie widowisko,
Gdzie trupie resztki — druciane opończe
Nadeptał mój duch i przejął się trwogą,
Czując, że *własne kości ruszył nogą.*
(Król. Duch).

Mimo niejasności myśli, mimo tylu dzikich niemożliwości, mimo całego szału, jaki w tych i wielu innych ustępach majaczy — jest w tem majaczeniu taka wyrazistość obrazów, taka potęga słowa, że nikomu nie przyjdzie na myśl szydzić z tych genialnych niedorzeczności i choć może wolelibyśmy, żeby Słowacki był usłuchał rady Krasińskiego, który mu pisał: *„Granit rzuć pod twoje tęcze“* — nie mniej jednak nawet w tej aberracyi poetyckiej, nawet w tych halucynacyach musimy uczcić tego potężnego ducha, którego język

z słonecznej miłości był wzięty,
Nią złoty... gdy się zniżał, malowany —
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.

A gdybyśmy się zapytali zkąd ten urok, nawet w niedorzecznych wybuchach fantazyi, to i na to sam poeta dałby nam najlepszą odpowiedź. On nas porywa mimo swego szału, ponieważ pod tą wyrazistością halucynacyjną

pod tym grzmotem, pod tymi kolory
Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,
Że różne z myśli leją się upiory,
Że z pełną jestem wymyśleń kaletą:
Ale wierzajcie... żem rymu podpory
Podłożył sercem — a to moje veto
Przeciw fałszowi kiedy duch mój rzuca,
To więcej mnie to kosztuje — niż płuca...
(Dok. n.) (Beniowski).

---

*) Patrz w tym względzie dzieła Griesingera, Lelut, Brière de Boismont, Taine'a, Szafkowskiego, Szokalskiego i t. p. — Ustęp Griesingera cytowany jest u Chmielowskiego: *Geneza Fantazyi* str. 50.

*) Taine, De, L'intelligence, I. 471. Chmielowski, l. c. 83.

Z STAREJ TEKI.

SONET.

Marzyłem o krainie niebieskich migdałów:
O ścieżkach wyścielonych kobiercami róży,
O niebie, które nigdy lic swych mgłą nie chmurzy,
I zamkach budowanych z złota i kryształów.

I płynąłem wciąż myślą w ten świat ideałów,
W to senne moje państwo; — dziś wracam z podróży,
Haniebnie, tak jak wraca pies do swej obróży,
Odarty z moich złudzeń — wyleczon z zapałów.

Lecz choć mi wszystkie zmierzchły gwiazdy po kolei,
Choć wytrzeźwiony życiem nawet i z nadziei,
Pogodziłem się z dolą mą smutną i nudną,

Jednak myślą wciąż płynę w tę krainę złudną.
Tak kiedy zwarzą puchy róż jesienne tucze
Powracają do cieplic żórawiane klucze.

Włodzimierz Zagórski.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

VII.

Szymon Ford robi doświadczenia.

Dwunasta wybiła na staroświeckim drewnianym zegarze, stojącym w sali, gdy James Starr i dwaj jego towarzysze opuścili folwark.

Światło dzienne, dochodzące przez szyb wentylacyjny, wystarczało na dość znaczny przestrzeni, w dalszej jednak podróży — a oberman zamierzał doprowadzić inżyniera aż do ostatnich krańców komory Dochart — nie podobnaby było obejść się bez lamp, w jakie się zaopatrzyli.

Po przebyciu około dwóch mil drogi główną galeryą — trzej poszukiwacze nasi — przekonamy się wkrótce, że szło tu jedynie o poszukiwania — znaleźli się przed otworem ciasnego tunelu, którego sklepienie wspierało się na drewnianej podwalinie, okrytej grubą warstwą mchu białawego. Kierunek tunelu był mniej więcej ten sam, w jakim o półtora tysiąca stóp powyżej przepływała rzeka Forth.

Dla ułatwienia inżynierowi zorjentowania się w labiryncie komory Dochart, Szymon Ford przypominał mu ważniejsze punkta kopalni, zestawiając je z odpowiedniemi miejscowościami na powierzchni ziemi.

James Starr więc i oberman szli obok siebie, ciągle rozmawiając.

Henryk szedł naprzód, wskazując i oświecając im drogę. Od czasu do czasu zwracał nagle jaskrawe światło swej lampy to w ciemne zagłębienia, około których mieli przechodzić, to w wązkie i niskie przecznice, upatrując czy nie dojrzy w nich jakiego podejrzanego cienia.

Myśl o niewidzialnym współmieszkańcu kopalni, nie opuszczała go ani na chwilę.

— Daleko tak jeszcze pójdziemy, mój stary? — zapytał James Starr.

— Jeszcze z jakie pół mili, panie inżynierze. Dawniej przebywaliśmy tę drogę prędko i wygodnie w wagonie mechanicznego tramwayu. Ale, niestety, minęły już te czasy!

— Jeśli się więc nie mylę, to idziemy do punktu, w którym kończyły się ostatnie pokłady węgla?

— Tak jest. Jak widzę, to pan dobrze jeszcze pamiętasz rozkład kopalni.

— Cokolwiek, i zdaje mi się, że dalej niepodobna nam będzie się posunąć.

— Rzeczywiście, dochodzimy do krańców komory Dochart. W tem właśnie miejscu górnicy nasi wydobyli ostatnią bryłę węgla. Przypominam sobie doskonale tę scenę, jakbym patrzył na nią w tej chwili. Ostatnie uderzenie motyki moją wymierzone było ręką, a odgłos ten stokrotnem echem odbił się w mej piersi! Naokół nas sam tylko już wapień i łupki pozostały, a gdy wagon z ostatnim ładunkiem potoczył się w kierunku szybu dobywalnego, szedłem za nim zbolały, ze złamanem sercem jak za trumną przyjaciela. Zdało się, że razem z nim i dusza kopalni opuściła tę ziemię!...

Słowa powyższe wyrzeczone z głęboką powagą przez starego obermana, silne wrażenie wywarły na inżyniera, tąż samą przejętego boleścią — boleścią marynarza zmuszonego opuścić okręt zapędzony na podwodne skały, magnata patrzącego na upadek domu swoich przodków.

James Starr z współczuciem uścisnął dłoń Szymona; ale oberman nie puścił ręki inżyniera i silnie ją ściskając zawołał:

— Owego dnia wszyscy byliśmy w błędzie. O tak! stara kopalnia nasza nie umarła jeszcze! To nie trup bez życia — tylko letarg przemijający — i śmiało mogę twierdzić, panie James, że serce jej bije jeszcze!..

— Tłómacz się jaśniej, Szymonie! — wykrzyknął inżynier, niebędący już panem siebie. — Odkryłeś nową żyłę węgla?... Domyślałem się tego!... Twój list nie mógł czego innego zwiastować... Ważna wiadomość, mająca mi być udzieloną w komorze Dochart... a cóż może być ważniejszego dla mnie nad pokłady węglowe?!...

— Uważałem za mój obowiązek, przedewszystkiem pana o tem uprzedzić...

— I dobrze uczyniłeś, mój Szymonie. Ale powiedz mi, za pomocą jakiej sondy przekonałeś się...?

— Posłuchaj mnie pan, panie James — odparł Szymon. — Właściwie to nie pokład znalazłem...

— Cóż więc takiego?

— Jedynie dowód nieomylny, że pokłady te istnieją.

— Jakiż to dowód?

— Czy możesz pan przypuścić, aby gaz błotny wydobywał się z pod ziemi, w której nie byłoby węgla dla wytworzenia się go?

— Z pewnością, że nie! odpowiedział inżynier. — Gdzie nie ma węgla tam i gazu błotnego być nie może. Nie ma skutku bez przyczyny...

— Tak jak niema dymu bez ognia!

— Stwierdziłeś więc na nowo obecność w kopalni węglanu wodoru?

— Stary górnik nie myli się w takich rzeczach — odrzekł Szymon. — Poznałem odrazu naszego odwiecznego wroga, gaz błotny!

— A jeżeli to był jaki inny gaz! — przerwał z niepokojem inżynier. — Gaz błotny jest bezbarwny i prawie bez żadnego odoru. O istnieniu jego przekonać się można stanowczo jedynie z wybuchu!

— Panie James — odpowiedział na ten zarzut oberman — czy pozwolisz mi pan opowiedzieć szczegółowo wszystko, co zrobiłem dotychczas i w jaki sposób doszedłem do przekonania, że się nie mylę?

James Starr wiedział z doświadczenia, że najlepszym sposobem, aby się dowiedzieć czegoś od starego górnika, było pozwolić mu mówić swobodnie. Słuchał więc z cierpliwością.

— Od lat dziesięciu — zaczął Szymon na dany znak przez inżyniera, że może mówić — od lat dziesięciu, jak tu przebywamy, ani jeden dzień nie upłynął, abyśmy obaj z Henrykiem nie myśleli o przywróceniu dawnej świetności naszej kopalni. O, tak! ani jeden dzień nawet! Za cel naszego życia postawiliśmy sobie odszukanie nowych pokładów węgla, jeżeli tylko takowe istnieją jeszcze. Środków ku temu nie mieliśmy żadnych; o sondowaniu i myśleć nie było podobna, pozostawał nam tylko wrodzony górnikom instynkt, który nieraz prędzej do celu doprowadza aniżeli najlepsze wyrachowania naukowe. Takie przynajmniej jest moje osobiste zdanie...

— Którego i ja zbijać nie będę — szepnął inżynier.

— Otóż, co zauważył Henryk kilkakrotnie podczas wycieczek swoich w zachodniej stronie kopalni. Tu i ówdzie, wśród łupku lub pokładów kamienia w galeryach krańcowych, ukazywały się nagle płomienne światełka, gasnące w tejże chwili. W jaki sposób zapalały się one, nie mogłem tego zbadać i dotąd nie umiem sobie wytłómaczyć. Bądź co bądź, ogniki te zdradzały obecność gazu błotnego, a według mnie, gaz błotny — to niezawodna żyła węglowa.

— I ognie te nie sprowadzały żadnych wybuchów? — zapytał pospiesznie inżynier.

— Owszem, zdarzały się przy tem maleńkie eksplozye cząstkowe — mówił dalej Szymon Ford — jakie i ja sam wywoływałem niekiedy, chcąc się przekonać o istnieniu gazu błotnego. Przypominasz pan sobie bezwątpienia, w jaki sposób uprzedzano dawniej wybuchy gazów, zanim nieśmiertelny dobroczyńca nasz Humphry Davy wynalazł swoją lampę bezpieczeństwa?

— Chcesz mówić zapewne o „pokutniku“? — odpowiedział inżynier. — Nieraz o nim słyszałem, ale nie zdarzyło mi się nigdy widzieć go wykonywającego niebezpieczne swe obowiązki.

— Bo i w samej rzeczy jesteś pan za młody, abyś mógł był widzieć go na własne oczy. Ja przecież o dziesięć lat starszy od pana, a zaledwie kilka razy tylko widziałem ostatniego pokutnika naszej kopalni. Przezwano go tak z powodu, że używał do swojej czynności ubioru, podobnego do habitu mniszego. Rzeczywista zaś nazwa jego była „fireman“, „człowiek ognia.“ W owej epoce jedynym środkiem, zapobiegającym wybuchowi gazu, było rozkładanie go cząstkowemi eksplozyami, niedopuszczającemi nagromadzenia się masy lotniejszych jego cząstek w górnych przestrzeniach chodników. W tym celu zakapturzony pokutnik, z maską na twarzy i otulony w habit ściśle przylegający do ciała, czołgając się na czworakach po ziemi — gdzie czyste powietrze dozwalało mu swobodnie oddychać — unosił wysoko po nad głową gorejącą pochodnię. Jeżeli w galeryi znajdował się gaz błotny, następowała częściowa nieszkodliwa eksplozya, a kilkakrotnem powtarzaniem jej, zabezpieczano się od nieszczęśliwych katastrof. — Niekiedy zdarzało się wprawdzie, że przy gwałtowniejszym wybuchu tracił życie i sam pokutnik; w takich razach inny górnik zajmował jego miejsce i bezpieczeństwo kopalni było ciągle o ile możności

zapewnione. Ten zwyczaj zachowywany był we wszystkich kopalniach, aż do chwili, w której rozpowszechnioną została lampa Davy'ego — ja jednak, przypomniawszy sobie praktyczny ten sposób postępowania, zastosowałem go obecnie i tą właśnie drogą doszedłem do przekonania, że nowe pokłady węglowe znajdują się jeszcze w kopalni Aberfoyle...

Całe powyższe opowiadanie starego obermana o pokutniku, zgadzało się najzupełniej z prawdą; takiego bowiem sposobu używano dawniej w kopalniach dla niezbędnego oczyszczania powietrza.

Gaz błotny, inaczej zwany wodorem dwu—węglowym, bezbarwny i prawie bezwonny, przy zapalaniu wydający słabe światło, jest bezwarunkowo niezdatny do oddychania. Górnik nie mógłby żyć w miejscu napełnionem tym gazem, tak samo jak niepodobnaby wyżyć w gazometrze, zawierającym w sobie gaz używany do oświetlania ulic po miastach. Oprócz tego, gaz błotny, w zetknięciu się z powietrzem, w stosunku ośm, a może być nawet i pięć na sto, tworzy mieszaninę eksplodującą, która wybucha przy najlżejszej sposobności, sprowadzając prawie zawsze przerażające katastrofy.

Takiemu to niebezpieczeństwu zapobiega przyrząd Davy'ego, składający się z lampy górniczej zamkniętej w rurze z płótna metalicznego; gaz wypala się wewnątrz rury, niewypuszczając nigdy płomienia na zewnątrz. Lampy bezpieczeństwa w następstwie czasu ulepszone zostały wielu praktycznemi pomysłami. Jeśli naprzykład lampa taka się stłucze, to i gaśnie zarazem. Jeżeli, wbrew najsurowszym zakazom, górnik zechce ją otworzyć — gaśnie i wtenczas... Dlaczegoż więc — zapyta kto może — zdarzają się jeszcze eksplozye? — Dlatego, że nic nie zdoła zapobiedz nieszczęściu, gdy nieroztropny górnik chce bądź co bądź zapalić fajkę, lub gdy przy uderzeniu kilofem o kamień, wyskoczy niespodzianie iskra.

Nie we wszystkich wszakże kopalniach węgla znajduje się gaz błotny, a tem samem możliwe jest w nich używanie przy robotach zwykłej górniczej lampy. Do takich zalicza się, między innemi, komora Thiers, w kopalni Anzin, we Francyi. Gdzie jednak wydobywany węgiel jest tłusty, zawierający w sobie masę cząstek lotnych, tam gaz błotny wytwarza się zwykle w wielkiej obfitości. Jedynie tylko lampa bezpieczeństwa, jako zaopatrzona w odpowiedni przyrząd, zapobiedz może wybuchom, tem groźniejszym, że górnicy niedotknięci bezpośrednio w czasie samej eksplozyi, narażeni są jeszcze na zaczadzenie kwasem węglowym, to jest zabójczymi wyziewami wytworzonymi wskutek wypalenia się gazu błotnego.

Przez całą drogę Szymon Ford opowiadał inżynierowi wszystko co uczynił dotychczas dla osiągnięcia swojego celu; w jaki sposób przekonał się, że gaz błotny wydobywa się na ostatnich krańcach kopalni, w zachodniej jej części — i wreszcie, jakie próby z ogniem robił nad ujściem domyślnej żyły węglowej wywołując drobne eksplozye, które nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do rodzaju gazów, wydobywających się w ilościach niewielkich ale bez przerwy.

W godzinę po opuszczeniu folwarku, James Starr i dwaj jego towarzysze, uszli cztery mile drogi. Inżynier rozgorączkowany i pełen nadziei, przebył znaczną tę przestrzeń nie czując żadnego znużenia i nieodpoczywając wcale. Rozmyślał on nad tem, co mu opowiadał stary górnik, gruntownie badając znaczenie wszystkich okoliczności przytaczanych przezeń na podtrzymanie tak śmiało postawionego twierdzenia. Podobnież jak Szymon, nie wątpił i on sam, że ciągłe ulatnianie się gazu błotnego świadczyło o istnieniu nowych pokładów węgla kamiennego. Gdyby to miał być tylko rodzaj jamy, napełnionej gazem, jakie zdarzają się niekiedy wśród pokładów ziemnych; jama taka musiałaby się niebawem wypróżnić — a tu tymczasem, wedle słów Szymona, gaz wydobywał się bezprzestannie. W takim stanie rzeczy można było prawie na pewno utrzymywać, że skarby kopalni Aberfoyle nie zostały do szczętu wyczerpane — zachodziło tylko ważne pytanie: czy będzie to drobna żyła węgla, któraby nie wynagrodziła kosztów eksploatacyi, czy też znaczniejsze pokłady, rozciągające się pod najniższemi, wypróżnionemi już kondygnacyami kopalni? — Rzeczywiście, kwestya ta wymagała dokładnego i gruntownego zbadania.

Idący przodem Henryk, zatrzymał się nagle.

— Jesteśmy na miejscu! — zawołał stary Ford. — Nakoniec, dzięki Bogu, jesteś i pan z nami i będziemy mogli wspólnie się przekonać...

Wzruszenie nie pozwoliło mu dokończyć.

— Uspokój się, stary mój przyjacielu — rzekł inżynier. I ja jestem nie mniej od ciebie wzruszony, ale nie trzeba nam tracić czasu!...

W tem miejscu kończący się chodnik przedstawiał ciemną jaskinię, niepołączoną ani jednym bezpośrednim szybem z powierzchnią hrabstwa Stirling.

Mocno zaciekawiony James Starr bacznem okiem obejrzał miejscowość, w której się znajdowali.

Na ścianach jaskini widoczne jeszcze były ostatnie ślady kilofu, a nawet kilka większych otworów, w które wkładano naboje przy ostatniem rozsadzaniu skały. Łupek w tem miejscu był tak nadzwyczajnie twardy, że nie zachodziła konieczność zapełniania w zwykły górniczy sposób tego zaułku, w którym musiano powstrzymać roboty. W tem bowiem właśnie miejscu, pomiędzy łupkiem i wapieniem trzeciej formacyi, przerwała się żyła węglowa i ztąd wydobyto ostatnią bryłę węgla, jaka znajdowała się w komorze Dochart.

— Ot, tu, panie James — odezwał się stary Ford, wskazując kilofem — rozpoczęliśmy nasze poszukiwania, bo mam przekonanie, że po za tą ścianą, w mniejszej lub większej głębokości musi się koniecznie znajdować nowy pokład węgla. —

— I to na powierzchni tej skały zauważaliście obecność gazu błotnego? — zapytał inżynier.

— Tak jest, panie; i zapalałem go przy każdem zbliżeniu lampy do łupku. Henryk robił też same próby.

— Na jakiej wysokości?

— Dziesięć stóp po nad ziemią — odpowiedział Henryk.

James Starr usiał na odłamie skały. Zdawało się, że odetchnąwszy powietrzem jaskini, zaczął z pewnem niedowierzaniem spoglądać na dwóch górników, pomimo tak stanowczych ich zapewnień.

W gruncie bowiem rzeczy, wodór węglanu nie jest zupełnie bezwonny, przedewszystkiem więc uderzyło to bardzo inżyniera, że nie poczuł najmniejszego śladu zdradzającego obecność gazu. W każdym razie, jeżeli gaz znajdował się rzeczywiście w powietrzu, musiała to być bardzo nieznaczna ilość. Nie zachodziła zatem obawa wybuchu i można było bez niebezpieczeństwa otworzyć lampę Davy'ego aby zrobić próbę, uskutecznianą już poprzednio przez starego górnika.

Otóż inżynier nie obawiał się aby w powietrzu nie było za wiele gazu — lękał się on owszem, czy nie będzie go zbyt mało albo też nic zupełnie.

— Mieliżby się omylić? — szeptał. — Nie! zanadto wiele doświadczenia mają pod tym względem!... A przecież!...

Z niecierpliwością więc i wyraźnym niepokojem oczekiwał chwili, w której Szymon Ford przekonałby go naocznie o rzeczywistości tyle pożądanego faktu. Tymczasem, obawy jego co do nieznalezienia w jaskini właściwego zapachu, jakim odznacza się gaz błotny, udzieliły się i Henrykowi, młody bowiem górnik odezwał się z pewnem drżeniem w głosie:

— Zdaje mi się, ojcze, że gaz nie wydobywa się już z pod łupku!

— Co ty mówisz! — zawołał Szymon.

I zacisnąwszy szczelnie usta, wciągnął w siebie kilkakrotnie powietrze.

— Podaj mi lampę! — rzekł następnie.

Wziął drżącą ręką lampę bezpieczeństwa, odwinął płótno metaliczne otaczające płomień, tak, że lampa gorzała na wolnem powietrzu.

Jak było do przewidzenia, nie nastąpił żaden wybuch; co ważniejsza jednak, nie dało się spostrzedz nawet owo lekkie pstrzykanie płomienia, nieuniknione przy najdrobniejszej ilości gazu.

Szymon Ford wziął z ręki Henryka długi kij i przymocowawszy na końcu jego lampę, podniósł ją w górę gdzie gaz, jako lżejszy od powietrza, zbiera się zwykle większemi masami.

Prosty i biały płomień lampy, gorzał spokojnie, nie zdradzając bynajmniej zetknięcia się z wodorem.

— Zbliż lampę do ściany! — rzekł inżynier.

— Dobrze — odpowiedział Szymon — i przysunął lampę do tego samego miejsca, z którego nie dalej jak wczoraj, on sam i syn jego, stwierdzili wydobywanie się gazu.

Kiedy stary górnik podniósł lampę aby zbliżyć ją do szczelin pomiędzy warstwami łupku, ze wzruszenia zadrżała mu ręka.

— Wyręcz mnie! — rzekł do Henryka.

Henryk wziął kij od ojca i przesuwał kolejno lampę wzdłuż ściany, gdzie pojedyńcze blaszki łupku odstawały od skalistej masy tworząc niewielkie pomiędzy warstwami przerwy. I tam przecież nic nie zdradziło obecności gazu. Płomień palił się ciągle spokojnie.

— Nic i nic! — zawołał Szymon Ford, zaciskając pięści raczej z gniewu aniżeli ze zniechęcenia.

Jednocześnie gwałtowny wykrzyk wyrwał się z piersi Henryka.

— Co ci się stało? — zapytał żywo inżynier.

— Ktoś zatkał szczeliny łupku!

— To niepodobna! — zawołał Szymon.

— Przypatrz się sam, ojcze!

Henryk nie mylił się. Sztuczne zamknięcie szpar pomiędzy warstwami łupku, było aż nadto widoczne przy świetle lampy. Długi pas świeżego wapna, którem nieznajoma ręka zalepiła otwory, bielił się na ścianie, pomimo że posypany był dla niepoznaki miałem węglowym.

— To on zrobił! wykrzyknął Henryk.

— On! — powtórzył ze zdziwieniem inżynier — kto taki?

— Ten sam — mówił rozogniony młodzieniec — tajemniczy człowiek, co ośmiela się przebywać w naszej kopalni; ten sam, którego stokroć razy już śledziłem i nigdy doścignąć nie

mogłem; ten sam, co napisał do pana ów list bezimienny, odradzając widzenie się z moim ojcem; ten sam nakoniec, który rzucił kamieniem na pana w szybie Yarow!!... Oh! teraz nie mam już najmniejszej wątpliwości! W tem wszystkiem widoczną jest ludzka ręka!

Pewność z jaką wyrzeczone były powyższe słowa, skutecznie oddziałała na wahający się dotąd umysł inżyniera, który musiał przyznać słuszność podejrzeniom młodego górnika. Co do Szymona dla niego nowy dowód ten był zupełnie zbytecznym. Zresztą, mieli przed oczyma fakt niezaprzeczony: zalepienie wapnem szczelin, przez które wczoraj jeszcze gaz swobodnie się wydobywał.

— Weź kilof, Henryku, — rzekł Szymon— i stań na moich ramionach. Jestem jeszcze dość silny, żebym cię mógł utrzymać.

Henryk odgadł myśl ojca — i gdy ten oparł się o ścianę, stanął na jego ramionach, a przytrzymując się jedną ręką, drugą, uzbrojoną kilofem, zaczął odbijać wapno nałożone pomiędzy warstwami łupku.

W tej chwili dało się słyszeć lekkie syczenie, podobne do tego, jakie wydaje wino szampańskie ulatniające się z butelki — syczenie, w obrazowym języku kopalni angielskich znane pod nazwą „puff."

Henryk pochwycił lampę i zbliżył ją do szczeliny.

Nastąpiła dość silna eksplozya, a niewielki płomyk czerwony, po brzegach cokolwiek niebieskawy, przesunął się jak błędny ognik wzdłuż ściany.

Młody górnik zeskoczył pospiesznie na ziemię, a ojciec jego nie mogąc powstrzymać swej radości, schwycił obie ręce inżyniera, wykrzykując:

— Wiwat! panie James! Wiwat! Gaz się pali a więc musi tam być i węgiel!!

(C. d. n.)

Ruch społeczno-ekonomiczny.

II.

(Dokończenie).

Ankieta, uznawszy wielkie znaczenie Towarzystw Zaliczkowych, zrozumiała zarazem potrzebę zapewnienia samymże Towarzystwom Zaliczkowym większych i tańszych niż dotąd kapitałów. Kredyt bowiem, z jakiego Towarzystwa te obecnie korzystają, jest w znacznej części zbyt drogim, a szczególniej dla młodszych i słabszych Towarzystw zbyt utrudnionym. Zkąd też przyszła ankieta do wniosku, iż należy Towarzystwom tym ze strony kraju jako takiego przyjść w pomoc, umieszczając w tym celu znaczniejszy kapitał z funduszów krajowych w centralnej instytucyi kredytowej, którą Związek Stowarzyszeń wytworzyć zamierza. Nad formą tej instytucyi obradują teraz właśnie rady nadzorcze Towarzystw Zaliczkowych, wezwane do tego przez Wydział Związku na podstawie uchwały zjazdu delegatów stowarzyszeń. O rezultacie tych połączonych usiłowań Wydziału krajowego i Związku stowarzyszeń nie omieszkamy w swoim czasie donieść — dzisiaj zaś wyrażamy tylko nadzieję, iż nie skończy się na samych ankietach, naradach i rokowaniach, lecz że sejm mający się w ciągu lata zebrać, będzie mógł powziąć jakieś stanowcze w tym przedmiocie uchwały.

Gdy zaś mowa o sprawach kredytowych, nie podobna nam tu pominąć milczeniem postępku centralnej dyrekcyi Banku narodowego. Instytucya ta, oparta na przywileju i na przymusowym kursie jej papierów — która mogłaby i powinna być regulatorem kredytu w kraju, i na racyonalnych oprzeć go podstawach, postępuje tak, jak gdyby nie ona była dla kraju, lecz kraj wyłącznie dla niej. Nasza szczególniej prowincya z wielu względów przez Bank po macoszemu traktowana, pada zbyt często ofiarą wszechwładztwa wiedeńskiej Dyrekcyi. I tak w pierwszych dniach czerwca nadeszło z Wiednia do lwowskiej filii rozporządzenie, ażeby kredytu Towarzystw zaliczkowych zredukować do minimalnej kwoty tak nisko ustanowionej, że n. p. lwowskiemu Towarzystwu zaliczkowemu, które z końcem kwietnia b. r. miało przeszło 92.000 zł. własnego kapitału, wymierzono tylko 20.000 zł. bankowego kredytu, pomimo nieograniczonej poręki przeszło półtora tysiąca członków! Zarazem uszczuplono w wysokim stopniu reeskont weksli, przez ograniczenie go tylko do weksli czysto kupieckich, jakich bardzo mało się znajdzie w portfelach Towarzystw zaliczkowych, nakoniec przez to, iż zakazano przyjmować weksle zaopatrzone osobistymi podpisami członków stowarzyszeń, ponieważ zdaniem centralnej Dyrekcyi wobec solidarnej poręki podpisy ich już się mieszczą w firmie Towarzystwa, co jest po prostu nonsensem. Podpis członka wtedy chyba mieściłby się w podpisie Towarzystwa, gdyby ono było nietylko dla zaliczkowego interesu zawiązane, ale prowadziło wszelkie najróżnorodniejsze interesa przez członków prowadzone tak, że obejmowałoby w sobie całość jednostkowych gospodarstw, majątków, przedsiębiorstw i wszelkich interesów członków, i niemi na wspólny rachunek zarządzało. Wtedy bowiem majątek członków a majątek Towarzystwa — byłyby jednem i tem samem. Zresztą kto tylko zna ustawę o stowarzyszeniach, wie, że członek Towarzystwa o nieograniczonej poręce odpowiada wprawdzie całym majątkiem, ale wspólnie z wszystkimi innymi członkami — tak że w razie niedoboru przy likwidacyi nie oddaje całego swego majątku, lecz taką jego część, jaka z podziału przypadnie. Jeżeli to przeto jest firma mająca przystęp do Banku, to sam fakt należenia do Towarzystwa nie powinien w niczem zmniejszyć jej kredytu, a podpis jej dany na wekslu Towarzystwa ma to znaczenie, iż niezależnie od solidarnej poręki ręczy osobiście za tę szczegółową wierzytelność. Cóż jednak pomogą wszelkie argumentacye tam, gdzie oczywista jest niechęć? Mogą one być najsłuszniejsze — fakt pozostaje faktem, iż Bank narodowy prawie uniemożliwił, a niewątpliwie do minimum zredukował możność korzystania z taniego bankowego kredytu tym instytucyom, które za cel sobie wzięły walczyć z lichwą i wyzyskiwaniem. A zarazem uszczuplił kredyt firm prywatnych, skoro fakt należenia do Towarzystwa o nieograniczonej poręce ma być *macula*, która zachwiewa kredytem firmy, skoro zresztą tem samem rozporządzeniem zakazała wiedeńska Dyrekcya przyjmować weksle zaopatrzone podpisami krewnych! W jakim stopniu ma być to pokrewieństwo, tego nie określono. Jeżeli przeto jest ktoś właścicielem handlu, choćby najpomyślniej prowadzonego, a szwagier jego właścicielem fabryki — to nie mogą na wspólne podpisy dostać bankowego kredytu, bo są krewnymi. Jest to postanowienie tak drakońskie, i w ogóle te rozporządzenia centralnej Dyrekcyi tak uszczuplają możność korzystania z kredytu w Banku narodowym, że nie pojmujemy jak może Izba handlowa lwowska pomijać fakt ten milczeniem. Obowiązkiem jej upomnieć się o swoich wyborców, i stanąć w obronie interesów krajowego handlu i przemysłu, które snać w wiedeńskiej Dyrekcyi Banku nie mają przyjaciół.

T. Romanowicz.

Listy z Anglii.

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Powracając myślą na błonia w Epsom, przy pominam także scenę, oglądaną w zagrodzie, zwanej *saddling paddock*, czyli gdzie siodłają konie biorące udział w wielkiej gonitwie. Wstęp do tej zagrody kosztuje tylko szyllinga. Przyznam, iż nigdy nie oddałem chętniej srebrnika za wejście wewnątrz uprzywilejowanego miejsca. Wyobraźcie sobie mięszaninę z królewiczów, parów, opasłych kupców, profesyonistów żyjących z oszustw turfowych, nazywanych zakładami, widzów cisnących się w gromadki dokoła znakomitości. Pomiędzy tym tłumem możecie deptać na nagniotki przybłędów z Chin, Indyi, Etiopii, Bóg wie zkąd. Midhat pasza ociera się o posła z Kaszgaru, ambasadorowie chińscy uczą się sztuki zakładania na los wyścigów od *bookmaker'ów* ze Strandu, były prezydent amerykański ogląda pęciny rumaków okiem znawcy, który w zawodzie koniarstwa chlubi się większą reputacyą w Ameryce, niż nawet jako wódz i mąż stanu.

Wspomniałem o jenerale Grant, obecnie bawiącym w Anglii w charakterze gościa narodowego. Przyjmują go z honorami, oddawanemi z rzędu Garibaldemu, sułtanowi i szachowi. Jenerał Grant używa wyjątkowego przywileju na byłego prezydenta. Skutkiem trybów amerykańskiego gminowładztwa, były samorządca Rzeczypospolitej znika zwykle z widowni publicznej po upływie swojego terminu, chociaż podczas lat kilku dzierży większą władzę, niżeli konstytucyjny monarcha europejski. Wybrany zwykle z pośród mierności — skutkiem zawiści pomiędzy prewodyrami — tonie z dniem złożenia berła w Oceanie wieczności. Wyskoczył z nicości, święcił lat kilka i znów powrócił do nicości — oto karyera ludzi tego rodzaju. Gdy eks-prezydent Buchanan odwiedził Anglią, nie zwrócono na niego uwagi; lecz Grant'a przyjmują z honorami zwykle udzielanymi monarchom. Pochodzi to bezwątpienia z chęci ugłaskania kuzyna Jonatana. Grant, pomimo ostrej krytyki, z jaką Amerykanie osądzili jego karyerę polityczną, pozostanie zawsze potęgą w społeczeństwie tamtejszem, skutkiem swojej sławy wojskowej. Gdy się wybierał do Europy, ofiarowano statek wojenny na jego usługi — przywilej niesłychany jak na tamtejsze stosunki. Reprezentuje on tu poniekąd zamorską Rzeczpospolitę, z którą Anglicy życzą sobie żyć w porozumieniu. Jednakże to fetowanie Granta uderza i bawi każdego, co pamięta zawziętość Anglików przeciw niemu, wnet po sprawie Alabamy. Lecz nienawiści narodowe, jeżeli nie podsycane przez despotów, zacierają się prędko. Wątpię czy którykolwiek z współczesnych francuskich pisarzy i mężów stanu wzbudził w swoim czasie większą niechęć Anglików, od starego Thiersa, chociażby tylko skutkiem swoich pism historycznych i zamiłowaniem w protekcyi. Jednakże dziś cała prasa angielska podsuwa jego kandydaturę przeciw mężowi, w swojem *coup-de-tête* rzuca Francyą na pastwę ultramontanom i reakcyi. Pod tym względem zgadzają się wszystkie stronnictwa tutejsze, a zagorzali Torysi ubolewają nad niepowodzeniami francuskich republikanów. Wszystkie też podziwiają Thiersa.

Oprócz Granta oglądałem niedawno innych gości zamorskich — pielgrzymów z Kanady do Rzymu. Interes ogólny dla tych osób wszczął się z powodu, iż parowiec Dakota, który przywiózł ich do Europy, stracił śrubę w drodze. Przez kilka tygodni lękano się o los kilkuset osób i okrętu. Osoby te zaś tworzą kwiat kanadyjskich katolików, gdyż kraj ten nie wysłał na pielgrzymkę swoich biednych chłopków, mówiących tylko bretońskiem *patois*. Prawie wszystkie narody katolickie zatrzymują tego rodzaju pielgrzymów na mniej świetne okazye. Gdy pielgrzymi kanadyjscy przybyli do Anglii, wielka firma Cook'a (dom dla opieki nad turystami) wzięła ich pod swoje skrzydło. Pierwszorzędne hotele, pociągi spacerowe złożone z powozów pierwszej klasy, uczty godne książąt uprzyjemniają ich mo-

*

zolną pielgrzymkę, a za wszystko płacą złotem, nie zebranem ze składek publicznych. Wiem z naocznego oglądania, że Kanada posiada ludek rolniczy, który uważa sztukę czytania za rzecz zbędną, chętnie kupuje słomki z pod więźnia w Watykanie i nie posyła dzieci do szkół, stosownie do rozkazów swoich missyonarzy jezuickich. Lecz jak wspomniałem, nie przysłała ona tych poczciwych wieśniaków w dziwacznych ubiorach na pośmiewisko gawiedzi w miastach europejskich. Tu dodam, że co do nieposyłania dzieci do szkół, chociażby szkółki wznosiły się o sto kroków od domu, większość ludu polskiego w Ameryce naśladuje Kanadyjczyków, gdyż im nie wolno kształcić dzieci w szkołach publicznych, nie chcą zaś opłacać nauczycieli polskich. Kapłani, którzy zabraniają im posyłać dzieci do szkółek ludowych sami nie mogą się zdobyć na pracę nauczania.

Wspominam ten fakt, jako odpowiedź na wyjątek z polsko-amerykańskiej gazety, przedrukowany niedawno w „Tygodniu.“ Z tego względu nie zgadzam się z szanownym autorem owego artykułu co do korzyści wychodźtwa naszego ludu. Lud nasz w Ameryce, póki podlega wpływom obecnym, zawstydza nas tem, że się przedstawia w gorszem świetle niż przystoi, mnoży się, aby tworzyć najciemniejszą warstwę zamorskiego proletaryatu, jest ślepem narzędziem w dłoni Zmartwychstańców. Tysiące dorostków w Chicago bez iskry wykształcenia nie przedstawia godnie Polski, ani nie dorobi się niczego, z czemby mogli powrócić do kraju. Jeżeli nie tumanią ich cudami w rodzaju wymienionych w „Tygodniu“ z 1go czerwca, pochodzi to z obawy, żeby policya amerykańska nie wdała się w przyczynę cudów. Cuda nie odbywają się tam, gdzie przeważają „niewierni.“ Kodeks w stanie Illinois nazywa zbieranie pieniędzy przy cudownych obrazach: *obtaining money on false pretences,* czyli otrzymywaniem grosza pod fałszywemi wymówkami,“ i karze za nie więzieniem.

Rozpisawszy się o gościach w Anglii, wspomnę, że oczekujemy tu mędrca od Wschodu, w osobie pana Wong-Czin-Fu, młodego krzewiciela nauk Konfucyusza, który przybędzie do Europy jako missyonarz religii mandarynów. Obecnie wykłada swoje poglądy w Ameryce, twierdząc iż odpłaca pięknem za nadobne, przenosząc nakształt nowego Hanibala wojnę na ziemię pierwotnych najezdników i zakładając chińskie misye pomiędzy barbarzyńcami.

Chętnie wspomniałbym o ruchu literackim zdumiewającym, wszechstronnym, którym tętni Anglia nawet teraz, gdy wydawcy uskarżają się na niezwykły zastój. Co za obfitość dzieł we wszystkich gałęziach wiedzy i belletrystyki, a nadewszystko, jak tu drogo kosztują nowe książki! Ilekroć żądają odemnie funta lub 30 szyllingów za tom mierny, który świeżo wyszedł z pod prasy, przypominam galicyjskie utyskiwania na drożyznę polskich książek, któremi tłumaczono mi za młodu przyczynę polskiego księgowstrętu.

Powłóczywszy się cokolwiek po świecie przyszedłem do przekonania, że polscy pisarze i wydawcy sprzedają owoce swojej pracy najtaniej na kuli ziemskiej. Wyobraźcie sobie, że dopiero w roku bieżącym zjawiło się pierwsze, ludowe, steorytypowe angielskie wydanie „Pickwick'a,“ a nawet to wydanie kosztuje po 2 szyllingi od tomiku. Z różnych dzieł Dickensa będzie zbierała jego rodzina bogate żniwo przez liczne lata jeszcze. Nowsze powieści George Elliota, lub najnowszy ostatni romans Ouidy (Aryadna) albo ostatnia powieść Bret Harta (Thankful, Blossom) kosztują drożej, niż kompletne wydania niektórych naszych żyjących, lepszych powieściopisarzy. Temi dniami zapytałem o cenę dwutomowego opisu podróży po Abissynii, z pod pióra jednego z owych licznych sportsmanów angielskich, którzy z zamiłowania w strzelaniu lwów i nosorożców dostają się w najniedostępniejsze ustronia. Żądano 50 szyllingów! Prawda, że kapitanowi Burnaby, autorowi przejażdżki do Chiwy, który wrócił niedawno z podobnej wyprawy do Armenii, ofiarowywali wydawcy kilka tysięcy funtów za rzecz nie napisaną dotąd.

Wkrótce spodziewamy się dzieła Schliemann'a, które podając wszystkie rysunki i historyą zdobyczy myceńskich, będzie też stanowczą odpowiedzią na zarzuty krytyków i szyderców. Byłem świadkiem przyjęcia tego archeologa w jednem z tutejszych naukowych stowarzyszeń. Czyż być może, aby ten niski, krępy, zwinny i elegancki mężczyzna, pozornie w średnim wieku, gdyż wygląda nad wiek młodo, urosł najpierw z chłopca sklepowego korzennego na milionera, z milionera na lingwistę i archeologa, wreszcie zdobył się na energię i poświęcił mienie krwawo zdobyte celem odkopania tylu naukowych skarbów!

W obecnej chwili zalewa Anglję potop biografii i pamiętników. Tomy listów i życiorysów drugorzędnych mężów stanu, sędziów, nieznanych jurystów, aktorów słynnych tylko w Londynie, pisarzy o których Europa nie słyszała, pokazują się bezustannie za oknami księgarzy. Burns, ów pół-bóg Szkocyi, doczekał się wydania, jakiem zapewnie żaden poeta nie poszczycił się do dnia dzisiejszego. Szkoci napisali już więcej komentarzy o Burnsie, niż Niemcy o Homerze, a rok nie mija bez nowej edycyi Burnsa.

Do ciekawszych zjawisk literackich zaliczam zajęcie, jakie Turguniew budzi w Anglii, a bardziej jeszcze w Ameryce. Tu uważają go za jednego z pierwszych powieściopisarzy żyjących, co najmniej równego George Elliotowi, tudzież tłumaczą chciwie. Za oceanem służy on za model dla młodej szkoły amerykańskich novelistów, na czele której stoi Hjalmord Hjorth Boyesen, rodem z Norwegii, lecz piszący cudnie po angielsku, i profesor przy uniwersytecie Cornell (w Itace, stanie New-Jyork). Krytyczne pisma amerykańskie zajmują się bezustannie Turgeniewem od lat kilku, miesięczniki podają jego powieści natychmiast po zjawieniu się w oryginale. Wiara rosyjskiego filantropa - pessymisty w nieubłagane fatum, które opanowuje dokoła ludzkie istoty nakształt łańcucha z sił niezłomnych i srogich, z którym walczymy bez nadziei zwycięztwa, śród których giniemy jak mucha w pajęczynie, licuje z położeniem pisarza rosyjskiego, lecz nie rozumiem dlaczego znajduje tylu znakomitych apostołów w krajach jak Anglja, lub Stany Zjednoczone, gdzie bardziej niż gdziekolwiek człowiek jest panem własnej woli, może wyzywać owo fatum, nie czuje obucha niezłomnych, nieubłaganych stosunków.

Wspomniałem o nowym utworze Bret Harta. Tytuł *Thankful Blossom* (dziękczynny kwiatek) jest nazwiskiem bohaterki, akcya odbywa się podczas wojny o niepodległość, a samo dzieło nie jest ani nowellą, ani dramatem. Twórca Gabriela Conroy'a oraz tylu innych arcydzieł nie uczynił zadość swojej reputacyi w tej ostatniej dyalogowanej powieści. Romans historyczny nie leży w zakresie jego sił, a mistrzowski malarz Sierrów i zachodniego życia (mistrzowstwo to oceniają ci najbardziej, którzy znają to życie), powinien powrócić do San Francisco, Moriposy, pomiędzy typy żyjące i oryginalne.

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH.

Sen.

To zjawisko, tak powszednie w życiu człowieka, tak często starannie badane, niema jednak dotąd jeszcze zadowalającego wytłómaczenia. Jest kilka teoryj, lecz żadna z nich nie cieszy się ogólnem uznaniem, i żadna nie jest przekonywającą. Na ostatnim zjeździe przyrodników niemieckich prof. W. Preyer przedstawiał swą teoryę snu i szeroko się o niej rozwodził. Postaramy się w kilku słowach podać jej treść ogólną, ponieważ zainteresowała ona ogół przyrodników i lekarzy.

Przed zwykłym naturalnym snem, który następuje nie wskutek środków usypiających, czujemy zawsze znużenie w narządach uczucia, szczególnie w oku i uchu, w mięśniach i w środkowych narządach nerwowych. Można rzec w ogóle, że sen następuje wtedy, gdy końcowe narządy nerwów są zmęczone, gdyż organa zmysłów można uważać jako końcowe narządy nerwów ruchu. Przyczyna tego objaśnia się tem, że ponieważ żaden proces umysłowy nie może się odbywać bez tlenu, który krew z sobą do mózgu przyprowadza, a mózg pochłania w stanie czynnym, w porównaniu z innymi narządami, z wyjątkiem wątroby, nadzwyczaj wiele tlenu, więc *gdy tlenu w mózgu* wskutek jakichś fizyologicznych zmian *zabraknie, następuje sen;* doświadczenia wykazały, że skoro się od krwi idącej do mózgu odbierze tlen, to następuje natychmiast stan podobny do snu.

Brak tlenu w mózgu nastąpić może w dwojaki sposób: I. naczynia krwionośne mogą podczas snu mniej krwi dostarczać i II. krwi przypływa podostatkiem, lecz tlen w niej zawarty zużywa się nie na odżywienie mózgu lecz na coś innego. Doświadczenia na żyjących zwierzętach wykazały, że pierwsze przypuszczenie nie jest słusznem, i że podczas snu przypływa do mózgu tyle krwi, co i na jawie, i że naczynia krwionośne nie zwężają się wcale.

Otóż na drugiem przypuszczeniu oparł prof. Preyer nową swą teoryą. Twierdzi on, że podczas różnych wysileń tak mięśniowych jak i mózgowych w czasie czuwania tworzą się w nerwach i mięśniach całe szeregi właściwych ciał, zwanych *produktami zmęczenia* (Ermüdungsstoffe), które łatwo się utleniać mogą, i że właśnie podczas snu tlen ze krwi używa się na ich utlenianie.

Dość już dawno dowiedzionem zostało, że przy zmęczeniu tworzą się tego rodzaju substancye. Berzeliusz naprzykład otrzymał kwas mięsny z muszkułów sarny przez długi czas gonionej. Du Bois Reymond wykazał, że mięsień w spokoju oddziaływa obojętnie, z pewną dążnością ku alkalicznemu, gdy tymczasem mięsień w ruchu oddziaływa kwaśno. Claude Bernard wypowiedział, a Ludwig stwierdził doświadczeniami, że mięsień w ruchu więcej zużywa tlenu niż w spokoju. Reynecke dowiódł, że kwas mleczny i kreutyna wywiązują się w mięśniu tylko podczas ruchu i że mięsień w spokoju nie zawiera ich wcale.

Jeżeli te wszystkie doświadczenia zestawimy, to się przekonamy, że istnieją także *produkty zmęczenia* w mięśniach naszych Według wszelkiego prawdopodobieństwa musi się coś podobnego i w nerwach wytwarzać, jednak nie ma jeszcze na to dowodów oczywistych. Prof. Preyer, przyjąwszy to przypuszczenie, tłómaczy zjawisko snu w sposób bardzo prosty; powiada że *podczas snu tlen ze krwi zużywa się na utlenienie tych produktów zmęczenia.*

Jeźli się człowiek wysila przez czas długi, to produkty wysilenia zbierają się w coraz większej ilości, aż nareszcie nastąpić może raptowne zużycie tlenu i człowiek ten od razu w sen zapada. Mamy tysiące faktów popierających; weźmy naprzykład jeden z bardzo niedawnej przeszłości. Kapitan Webb przepłynął w roku zeszłym wpław z Anglii do Francyi. Naturalnie droga była uciążliwa i skoro się tylko kapitan na brzeg francuski wydostał, zapadł w sen nadzwyczaj mocny. Widziano to już nieraz i u szybkobiegów, którzy dobiegłszy mety zasypiali raptownie. W tych wszystkich wypadkach, nagromadzało się tyle produktów zmęczenia, że odciągnęły one od mózgu wszystek tlen potrzebny do jego czynności.

Doświadczenia czynione przez Reyneckego, przekonywają najbardziej o prawdziwości powyższych przypuszczeń. Wstrzykiwał on do mięśnia produkty, które się tworzą przy zmęczeniu. Mięsień taki stawał się niezdolnym do pracy i dopiero usunięcie produktów zmęczenia wracało mu pierwotną zdolność działania. Preyer doszedł do podobnych rezultatów inną drogą. Wiemy z jaką ogromną szybkością trucizny zażyte do żołądka przenoszą swe działanie do mózgu; trzeba więc było przypuścić, że skoro się wprowadzi do żołądka produkty zmęczenia, to one prędko i na mózg działać zaczną. Doświadczenia na zwierzętach czynione przekonały o tem najzupełniej. Próbowano to i na ludziach, i w większej części wypadków otrzymano zadowalające rezultaty, lecz tutaj mają wielkie znaczenie indywidualne różnice. U większości ludzi zażycie mleczanu sody wywołuje wielkie zmęczenie. Trzeba będzie jeszcze wielkiej ilości doświadczeń, żeby tę hypotezę Preyera przyjąć można było za teoryę naukową; a poszukiwania w tym kierunku są bardzo trudne, bo wymagają współdziałania chemii, patologii i to w najobszerniejszem tych słów znaczeniu. Długi więc jeszcze czas może upłynąć, zanim nauka coś stanowczego w kwestyi snu wyrzecze.

B.

Piśmiennictwo niemieckie.

Feldmarschall Graff Moltke's Briefe aus Russland. Berlin. Paetel.

Die Türken. Kurzer Abriss ihrer Geschichte. Von Dr. J. Blochwitz. Berlin: Habel.

Der radikale deutsche Socialismus und die christliche Gesellschaft. Von Rudolf Todt Wittenberg: Rust.

Die Demokratie. Von Julius Schvarcz. Bd. I. Hft. I. Leipzig: Duncker.

J. W. Helfers Reisen. Anhang. Meine Erlebnisse und Erinnerungen nach Helfers Tode. Von Gräfin Pauline Nostitz. Leipzig: Brockhaus.

Die Besitzungen des deutschen Ordens im Heiligen Lande. Von Hans Prutz, Leipzig: Brockhaus.

Die geschichtliche Entwickelung des Farbensinnes. Von Dr. Hugo Magnus. Leipzig: Veit.

Geschichte des Entdeckungsreisen und Schiffarthen zur Magellans Strasse. Von J. S. Kohl. Berlin: Reimer.

Geschichte der deutschen National-Literatur. Von A. F. C. Vilmar. Achzehnte vermehrte Auflage. Marburg: Elwert.

Die Feuerprobe der Liebe. Angioletta. Von Alfred Friedmann. Wien: Rosner.

Brand: dramatisches Gedicht. Von Henrik Ibsen. Deutsch bearbeitet von Alfred Freiherrn von Wolzogen. Wismar. Hinstorff.

Deutsche Rundschau. Herausgegeben von Julius Rodenberg. Ikry. 3. Hft. 8. Berlin: Paetel.

Każda książka wydana przez marszałka Moltkego, wodza milczącego w siedmiu językach, miałaby zapewnionych czytelników, a cóż dopiero dzieło, którego przedmiotem są stosunki rossyjskie. Mamy tu na myśli „Listy z Rossyi,“ wydane niedawno u Paetela w Berlinie. Listy te nie są zbyt liczne, i nie zgłębiają przedmiotu, lecz pokazują, jak się Rossya w r. 1856 przedstawiała oczom jednej z największych powag wojskowych, i co te powagi mogą obecnie o niej myśleć. Ogólne wrażenie z przeczytania tej książki jest to, że Rossya lepiejby zrobiła nie wdając się w obecną wojnę, chociaż jednak nie można pogardzać jej siłami. Według Moltkego ucywilizowanie Rossyi jest tytanicznem zadaniem; żeby sam tylko kościół prawosławny zrobić zdolnym do krzewienia cywilizacyi, trzeba byłoby przynajmniej jednego jeszcze wieku.

Listy Moltkego pisane podczas koronacyi cara do kobiety nie mogły być naturalnie przepełnione spostrzeżeniami specyalnemi, więc są też tam w wielkiej ilości opisy ceremonii, osób należących do dworu, gmachów itp. Książka ta ma znaczenie nie z powodu faktów tam podanych, lecz z powodu wrażenia, które się po przeczytaniu odbiera. Rossya zawcześnie rzuciła się według zdania marszałka w awanturę, i gdyby nawet zwyciężyła zupełnie, to powodzenie zbyteczne byłoby przeszkodą w rozwoju jej cywilizacyi.

Dra Blochwitza *zarys historyi tureckiej* jest książką treściwą i bezstronną, bez pretensyi do wyższego znaczenia literackiego. Bardzo odpowiednio zakończona jest znakiem zapytania.

Powodzenie socyalistów przy wyborach do parlamentu uważane jest powszechnie za jeden z najważniejszych znaków czasu, i to jeden z niebardzo uspokajających. Ponieważ partya ultramontańska stara się wyzyskać ten fakt na swoją korzyść, więc jeden ze znanych pastorów protestanckich wystąpił z książką (*Niemiecki socyalizm radykalny i społeczeństwo chrześciańskie przez R. Todta*) pisaną poważnie i z dobrą wiarą, w której się wysila na pogodzenie kapitalistów i socyalistów na podstawie nauki Nowego Testamentu; trudno jest jednak przekonać obie strony, że tam znajdą zupełne zaspokojenie; przekonać jednych, że Nowy Testament tak daleko sięga — drugich, że nie idzie dalej. Sympatye autora są po stronie socyalistów, i główną przyczynę obecnego stanu widzi on w egoizmie nieczułym na własną korzyść bogatszych warstw ludności niemieckiej. Uważa on teorye socyalistów za zupełnie słuszne z punktu widzenia ekonomii politycznej, a że główna przyczyna niepowodzeń i nienormalnego stanu leży w tem, że idea socyalna ma złych i nieodpowiednich propagatorów. Książka ma wartość z powodu dość bezstronnego przedstawienia kwestyi socyalnej w Niemczech.

„Demokracya“ Juliusza Schvarcza jest ciężkim traktatem, którego zadaniem jest oprzeć politykę na nauce antropologii. W pierwszej części autor zastosowuje swą metodę do Rzeczypospolitej ateńskiej.

Hrabina Nostitz, żona słynnego podróżnika Helfera, który umarł w r. 1840 w służbie kompanii wschodnio-indyjskiej, wydała jako dodatek do dzieł męża opis swych przygód po jego śmierci. Znajdujemy tam opis losów plantacyi indyjskich jej nieboszczyka męża, podróż po Egipcie, pobyt u dworu berlińskiego i u rodziny Bursena w Londynie.

Autor bardzo zajmującej podróży po Fenicyi, p. Prutz, który zawsze zwracał większą uwagę na stan tych krajów w wiekach średnich niż klasycznych, wydał obecnie ważną pracę o zakonie mieczowym niemieckim w Ziemi świętej. Rozpatruje on szczegółowo wszystkie miejscowości i państewka znajdujące się w ich władaniu i wykazuje źródło i wysokość dochodów. Twierdzi on, że dochody były bardzo znaczne i że Niemcy rządzili bardzo praktycznie.

Dr. Hugo Magnus, uczony okulista, wydał małą, lecz pełną treści książeczkę o stopniowym rozwoju zdolności odróżniania kolorów w całym przebiegu okresu historycznego. Niepewność terminów Homerowskich, używanych przy opisie barw, już oddawna zwróciła na siebie uwagę komentatorów. Autor wykazuje, że Grecy pierwotni i Indyanie nie odróżniali barwy niebieskiej od czarnej i wnioskuje, że trzeba oczekiwać coraz większej czułości oka naszego na barwy i że nasi potomkowie odróżniać będą od siebie barwy, które my dziś uważamy za identyczne.

P. Kohl wydał piękną monografię podróży i odkryć w cieśninie Magellana, poczynając od pierwszych wycieczek, a kończąc na projekcie obecnym rządu Rzeczypospolitej Chilijskiej, który zamierza kolonizować te okolice, wybudować latarnie morskie i zrobić z tej cieśniny drogę kupiecką. P. Kohl załącza zajmującą mapę niemiecką, ilustrującą pojęcia z czasów Magellana o tej cieśninie i o Indyach. Autor wykazuje, że po Magellanie ostygła chęć podróży w te strony z powodu, że się przekonano, iż od wybrzeży meksykańskich łatwiej się dostać do wysp molluckich, a głównie z powodu zazdrośnej polityki Hiszpanii, która nawet zaprzeczała przez długi czas istnienia jakiejkolwiek cieśniny. Podróż Drake'a wykazała to oszustwo i Hiszpania widząc, iż dłużej nie może się to ukryć, wysłała admirała Sarmiento w celu obsadzenia tych okolic. Próby kolonizacyi okazały się bezskutecznemi, lecz podróż admirała tego może być uważana jako ponowne odkrycie cieśniny. Największemi nowoczesnemi powagami są angielscy żeglarze Fitzroy i King, którzy zwiedzali te okolice na statkach „Adventurer“ i „Beagle.“

Wzorowa *literatura niemiecka Vilmara* ukazała się w nowem wydaniu przejrzanem starannie przez Goedeckego i zaopatrzonem w przypiski uzupełniające to dzieło, szczególniej pod względem bibliograficznym. Brak jednak sympatyi dla nowych prądów naszego stulecia, robi to dzieło, mimo całych zasług, niewystarczającem do poznania ostatniej epoki niemieckiej literatury.

Próba ogniowa miłości Alfreda Friedmanna jest opowiadaniem opartem na Filibercie włoskiego pisarza Bandello. Sekstyna jest bardzo właściwie zastosowaną, opowiadanie pełne efektu, a styl gładki i potoczysty. *Angioletta* cykl ballad pisanych na sposób Heinowski, nie dorównywa pierwszej pracy.

Chociaż bez porównania mniej znany, niż Börnson, Henryk Ibsen, poeta norwegski, zyskuje coraz większy rozgłos w Europie. Wyszło obecnie trzecie z rzędu tłumaczenie na niemieckie znakomitego jego poematu dramatycznego pod tytułem „Brand.“ Treścią jego jest poświęcenie szczęścia rodzinnego, dla celów i prac mistycznych, marzycielskich i wizyonarskich. Brand' poświęca żonę i dziecko, słuchając mniemanej woli nieba. Dramat ten nie należy do dziś tak powszechnej „spazmatycznej szkoły,“ jest bardzo starannie zbudowany i w całym utworze znać wysoki nastrój dramatyczny i jakąś nerwową energią. Główną wadą jest brak scen porywających poetycznością. Charakter Branda, kaznodziei sprawiedliwości, jest potężny i wcale naturalny, lecz jego barbarzyńskie i oburzające postępowanie, logicznie nawet z założenia wypływające, wyłącza go z naszej sympatyi w sposób szkodzący efektowi dramatycznemu. Inne osoby podrzędne bardzo dobrze są narysowane. Tłumaczenie wyborne.

W majowym numerze czasopisma *Deutsche Rundschau* znajdujemy: opis wycieczki do Argos i Miceny, zanim jeszcze Schliemann zaczął tam kopać; dziennik nieszczęśliwego poety Lenza zawierający historyę miłosnej przygody w Strasburgu w r. 1774 i pamiętnik znanego rossyjskiego socyalisty i agitatora Bakunina, zajmujący ze względu na to, że wykazuje stosunek skrajnych zwolenników Hegla z rewolucyonistami, który zachodził 30 lat temu.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXII.

Zapowiedziana wycieczka polskich przyrodników imienia Kopernika odbyła się zeszłej niedzieli przy prześlicznej pogodzie i stosunkowo licznym udziale członków, których się zebrało trzydziestu i kilku. Wyruszono z rana o ½ do

7. z dworca kolei Karola Ludwika. Czas podróży do Szczerca minął jak jedna chwilka, wśród wesołych rozmów, ozywionych wpływem cudnego, nie letniego lecz prawdziwie wiosennego powietrza. Z dworca szczerzeckiego, na którym przyrodników naszych spotkał p. Longchamps dyrektor zakładu zdrojowego w Lubieniu, udano się wprost do kamieniołomów gipsu, znajdujących się na wzgórzu panującem nad miastem, i przyglądano się tam pokładom gipsu przeplatanym prześlicznym, nieraz jak śnieg białym alabastrem. Profesor Niedźwiedzki miał treściwy wykład o tutejszych pokładach i objaśniał sposób ich powstawania. Następnie udano się za wskazówką pana Schneidra, obecnego przy wycieczce, wyżej jeszcze w górę ku kościołowi, godnemu uwagi ze względu na to, iż został przebudowany ze starego zameczka z czasów Kazimierza wielkiego. Prześliczny ztąd widok na pokryte siną mgłą Karpaty z Paraszką na czele.

Odbywszy tę pierwszą według programu część wycieczki siedli nasi przyrodnicy na wózki czekające w Szczercu i udali się w dalszą podróż ku Lubieniowi. Droga szła wśród łąk, niw i lasów zmytych kilkudniowym deszczem, nie było ani śladu pyłu, i pomimo że niebo nie zachmurzyło się żadnym obłokiem, nie było upału. Uczestnicy wycieczki, wieczni prawie mieszkańcy miasta, oddychali całemi piersiami świeżem, wonnem, prawdziwie balsamicznem powietrzem. Ta droga półtoramilowa, była jedną z najprzyjemniejszych stron wycieczki.

Muzyka i wystrzały moździerzowe spotkały wycieczkę przed zakładem kąpielowym w Lubieniu; po krótkotrwającej przekąsce udano się na zwiedzanie źródła i urządzeń kąpielowych. Gości przyjmowali serdecznie: właściciel zakładu baron Brunicki i dyrektor Longchamps, który z nadzwyczajną uprzejmością towarzyszył naszym przyrodnikom przez dzień cały i był ujmującym grzecznością ciceronem wycieczki. Przez godzin parę zwiedzano źródło siarczane, łazienki, park itp. Ci uczestnicy, którzy znali Lubień dawniejszy, zdziwieni byli niespodzianką, bo Lubień dzisiejszy nie podobny do dawnego. Przebudowano łazienki, zburzono dawne rudery, zaprowadzono wszędzie czystość i porządek, słowem nadano zakładowi charakter europejski i wróżyć mu można obecnie świetne powodzenie w przyszłości. Wolną chwilę przedobiadową zapełniono wyborną kąpielą w Wereszczycy przepływającej pod parkiem ku wielkim stawom. Obiad zastawiony był w wielkiej sali zakładu i odbył się wesoło wśród dźwięków muzyki i toastów. Na toast p. Longchamps'a wzniesiony na cześć Towarzystwa przyrodników, odpowiedział prezes prof. Radziszewski toastem na powodzenie zakładu, który tak energicznie dąży do ulepszeń i już takie kroki na tej drodze poczynił. Prof. F. Strzelecki zakończył toastem polskim „kochajmy się!"

Po obiedzie udano się do pałacu właściciela, gdzie honory domu robiła pani baronowa Brunicka; zwiedzano park prześliczny, posilono się podwieczorkiem i powrócono do zakładu zachowując miłe wspomnienie uprzejmego i serdecznego przyjęcia.

Według programu miano w dalszym ciągu udać się na łodziach do fabryki czerlańskiej, lecz ponieważ dowiedziano się, iż fabryka ta jest zamknięta i ponieważ czas był spóźniony, więc zadowolono się krótką wycieczką na łodziach, których cała flotylla na wyprawę oczekiwała. Nareszcie o 7ej odjechano do dworca Gródeckiego, a ztamtąd o godzinie 11tej wrócono do Lwowa.

* * *

Nie bardzo radzi jesteśmy, że nowela „Szklanny Człowiek" drukowana w naszem piśmie i w tym właściwie numerze ukończona, dała powód do wytoczenia procesu przed publicznością. Gdy jednak już jedna strona zabierała niedawno głos w tej sprawie w *Dzienniku Polskim*, to nie może my odmówić głosu drugiej stronie i podajemy list, który nam nadesłał p. Włod. Zagórski z usilną prośbą o zamieszczenie go w „Tygodniu."

Szanowny Redaktorze!

W nrze. 147. *Dziennika Polskiego* zamieścił p. Jan Lam następujące oświadczenie:

„Oświadczam niniejszem, że nie należę do składu redakcyi „*Tygodnia*," jak to niektórzy nieznający stosunków przypuszczają. Oświadczam dalej, że drukującej się w tem piśmie noweli p. t. „Szklanny Człowiek" napisałem tylko trzy ustępy w trzech pierwszych numerach zawarte, dalszego zaś ciągu tej powiastki autorem nie jestem, ponieważ dokończenie jej powierzono p. Włodzimierzowi Zagórskiemu, z którym się co do planu i treści opowiadania wcale nie znosiłem".

Oświadczenie to jest nader bałamutnem, nie wyjaśnia ono bowiem wcale genezy tej „składanej" noweli, i zawiera nadto pewne niedokładności, które mi sprostować wypada.

Konstatuję zatem:

1) że p. Jan. Lam, jak to sam w oświadczeniu u wstępu *Szklannego Człowieka* zamieszczonem opowiedział, pochwycił mi pomysł tej noweli, korzystając z mych poufnych zwierzeń.

2) że rozpoczął druk *Szklannego Człowieka* w *Tygodniu* jedynie mnie na przekorę, aby mi uniemożliwić zamieszczenie tejże w odcinku wychodzącej podówczas *Kroniki codziennej*.

3) że *Szklannego Człowieka* napisał nie jak utrzymuje pierwszych trzy, lecz pierwszych pięć ustępów, które to sprostowanie jest dla mnie nader ważnem, ponieważ się żadną miarą do ojcowstwa podrzuconego mi czwartego i piątego ustępu przyznać nie mogę.

4) że wywiózłszy bohatera powiastki za granicę, a pozostawiwszy resztę nader licznego towarzystwa w kraju, zaniechał nagle dalszego pisania, doprowadziwszy w pięciu rozdziałach powieść do ekspozycyi, a redakcyą do desperacyi.

5) że zrozpaczona redakcya „Tygodnia" nie mogąc mimo nalegań skłonić p. Lama do dalszego pisania rozpoczętej powiastki, wymogła na nim nareszcie zezwolenie, aby ktoś inny kończył rozpoczętą nowelę.

6) że otrzymawszy to zezwolenie, udała się redakcya „Tygodnia" do mnie z prośbą abym kończył rzecz rozpoczętą.

7) że rozpatrzywszy się w napisanych przez p. Lama pięciu rozdziałach *Szklannego Człowieka*, przekonałem się, iż takowe napisane zostały bez żadnego planu, i że przeto nie mam potrzeby porozumiewać się z moim poprzednikiem co do planu (?!) i treści opowiadania.

Oto są prawdziwe dzieje *Szklannego Człowieka*, powiastki pisanej przez dwóch autorów diametralnie przeciwnych opinii, rozpoczętej przez jednego z nich na przekorę drugiemu, a skończonej przez tego właśnie na przekorę któremu została rozpoczętą. Nie potrzebuję dodawać, żebym tu wcale nie podnosił skandalicznych dziejów tej składanej powiastki, gdyby mnie do tego nie był zmusił p. Lam swojem oświadczeniem.

Racz przyjąć panie redaktorze wyrazy mego poważania.

Lwów dnia 5. lipca 1877.

Włodzimierz Zagórski.

* * *

Konkurs lwowski imienia hr. Aleksandra Fredry.

Fundusz konkursowy stanowi kwota 900 złr. z której 600 złr, przeznaczone będą najlepszej komedyi, wypełniającej cały wieczór, a 300 złr. drugiej po niej najlepszej komedyi bez oznaczenia liczby aktów.

Termin ostateczny do nadsyłania utworów ustanawia się dzień 1. Marca 1878.

Przyznanie nagród odbędzie się w następujący sposób:

Utworzone będą dwie komisye. Zadaniem pierwszej będzie odczytać utwory nadesłane i zasługujące na przedstawienie polecić do odegrania na scenie lwowskiej. Komisya ta składać się będzie z reprezentantów dziennikarstwa i z artystów sceny lwowskiej.

Utwory polecone przez tę komisyą będą kolejno przedstawiane na scenie lwowskiej w miarę ich nadsyłania i polecenia przez komisyą, w każdym razie nie prędzej jak od 1. października 1877 zacząwszy, a nie później jak do końca maja 1878.

Druga komisya złożona z członków komitetu artystycznego, wysadzonego przez Wydział krajowy dla sceny lwowskiej z przybraniem pp. Jana Aleksandra Fredry i Jana Dobrzańskiego, obecna na przedstawieniach sztuk poleconych, po odegraniu ich przyzna dwom najlepszym komedyom nagrody powyżej wymienione.

Autorowie wszystkich na konkurs nadesłanych a poleconych do przedstawienia i przedstawionych utworów otrzymają $8_0/^0$ tantyemy od dochodu brutto z pierwszego przedstawienia a po $5_0/^0$ od następnych.

Rezultat konkursu ogłoszony będzie dnia 1go czerwca 1878.

Do każdej nadsyłanej sztuki ma być przyłączone nazwisko autora w opieczętowanej kopercie, opatrzonej zewnątrz tym samym napisem lub znakiem, którym oznaczona sztuka sama.

Tajemnica nazwisk autorów ustaje z dniem ogłoszenia rezultatu. Odnosi się to i do autorów, których sztuki były zalecone do grania i przedstawiane, ale nie uzyskały nagród.

Utwory należy nadsyłać pod adresem Dyrekcyi teatru polskiego we Lwowie.

Dyrekcya teatru polskiego we Lwowie

Jan Dobrzański.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Pan Stanisław Szachowski, współpracownik naszego pisma, doktór praw fakultetu paryskiego, otrzymał po złożeniu rigorosum przed fakultetem tutejszym stopień austryacki doktora praw.

— Z Krakowa donoszą, że reżyseryą miejscowego teatru obejmuje z dniem 15go września znany artysta p. Józef Rychter.

— Już wyszedł zeszyt 7. i ostatni bardzo cennego dzieła p. Mateusza Gralewskiego „*Kaukaz*, wspomnienie z dwunastoletniej niewoli". Na książkę tę zwracamy uwagę publiczności, daje ona bowiem

wierny obraz stuletnich walk na tym teatrze wojny, dokładny opis kraju i ludów, a co szczególniej dla nas jest zajmującem i ważnem: udział Polaków w tych walkach. Autor podaje olbrzymią liczbę 500.000 Polaków zapędzonych przez Moskali na Kaukaz, którzy tam życie skończyli. Jest to pierwsze i jedyne dzieło u nas ten przedmiot gruntownie traktujące. — Wyszło nakładem Księgarni polskiej — Cena prenumeracyjna 3 złr.

— Bawiący obecnie w Monachyum artysta Władysław Małecki otrzymał na tegorocznej wystawie w londyńskim Pałacu Kryształowym srebrny medal za pejzaż rodzajowy „Wycieczka w góry bawarskie.“ Jest to już piąty medal jaki ten artysta otrzymuje.

— Vieuxtemps rażony został paraliżem.

— Aleksander Dumas (syn) podał się do dymisyi jako członek Towarzystwa „des Gens de lettres“. Towarzystwo znalazło iż członek jego *nie ma prawa* żądać dymisyi, na co znów Dumas odpowiedział listem w sposób ostry i kategoryczny. Mniemają, że jeżeli Towarzystwo obstawać będzie przy swojem zdaniu, może się narazić na proces, który na pewno przegra.

— W Paryżu wyszedł wspaniały, wielki staloryt przedstawiający poselstwo do Jana III. z prośbą o pomoc dla oblężonego Wiednia Staloryt ten wykonany został podług oryginału Henryka Rodakowskiego.

— Z pomiędzy pism Warszawskich w W. Ks. Poznańskiem najwięcej prenumerują „Bluszcz“, w samej księgarni Lejtgebra w Poznaniu egzemplarzy przeszło dwieście. Za pośrednictwem tejże księgarni prenumerują przeszło 160 egz., „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Kłosów“ około 100 egz., „Biesiady,“ „Tygodnika romansów i powieści“ i „Wędrowca.“ „Tygodnik mód“ około 40 na prenumeratorów, „Mucha,“ „Kurjer świąteczny“ i „Kolce“ po 10 egz. „Przyjaciel dzieci“ na całe W. Ks. Poznańskie ma 120 prenumeratorów, a poważniejsze wydawnictwa jak „Biblijoteka Warszawska,„ „Ateneum“ i „Kwartalnik“ na całe Księstwo i Prusy zaledwie kilkunastu prenumeratorów.

— Gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagielońskiego otrzymał od hr. Konstantego Przeździeckiego wiele rysunków starożytności, oraz próbki tkanin z czasów dawniejszych; od p. Ostrowskiego zaś rysunki urn twarzowych odkrytych przez niego w Gościeradzu: od p. M. Arnoldowej mapy z atlasu Hommana; od p. A. Skrzyneckiego fotografią oddrzwi z katedry łęczyckiej. Oprócz tego wielu autorów nadesłało swoje publikacye archeologiczne.

— Do kompletnego wydania dzieł Balzaca, które drukuje obecnie paryzki księgarz Callman Lévy, przybył pośmiertny romans nieśmiertelnego autora „Ludzkiej komedyi“, nigdzie jeszcze dotąd niedrukowany; Romans ten noszący tytuł „Petits Bourgeois“ jest dalszym ciągiem, a raczej dokończeniem „Scen z życia paryzkiego“, które Balzacowi przyczyniły w swoim czasie tyle rozgłosu i nienawiści.

— W tych dniach nakładem czynnej firmy księgarskiej pana B. Cassiusa, wyszły „Opowiadania i studya historyczne“ przez Kazimierza Jarochowskiego Zbiór ten jak tyle innych prac autora, budzi rzeczywiste zajęcie.

— George Elliot (pani Leves), za ostatni swój ośmio-tomowy romans „Daniel Deronda“, który rozszedł się w 40,000 egzemplarzach, otrzymała maleńkie honoraryum wynoszące 1,000,000 franków.

W tymże samym czasie pewien literat warszawski, sprzedał do pewnego pisma także warszawskiego, powieść pod bardzo słonecznym tytułem, za olbrzymie honoraryum ryczałtowo z góry mu wyplacone w ilości rub. sr. 5, wyraźnie „pięć“.

Dodać należy, że pięciorublowa powieść wystarczy na trzydzieście kilka feljetonów.

— W wykopaliskach świątyni Junony w Olympii w Grecyi, odkryto marmurowy posąg Praksytelesa, przedstawiający Hermesa z Bachusem na ręku. Posąg jest wielkiej wartości i odnalezienie go sprawiło pomiędzy archeologami wrażenie. Pisał o nim jeszcze Pausanias w opisach świątyń greckich.

— Na wystawie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, ukazał się obraz Matejki: „Stanisław Szczepanowski napominający Bolesława Śmiałego.“

— Wystawa obrazów w Lublinie otwartą już została. Znajduje się na niej kilkadziesiąt płócien, u dołu których widnieją podpisy Murilla, Poussina, Rubensa, Van Dycka i Salvatora Rosy. Z krajowych malarzy są dzieła Simmlera, Suchodolskiego Januarego, Picarda i innych. Oprócz tego wystawiła swe prace i jedna z amatorek, pani Helena E. Nie wątpimy, że lubelski „Salon“ mieszczący w sobie znakomite utwory pędzla ściąga do swego wnętrza liczną publiczność, tem bardziej, że dochód jaki przyniesie wystawa, przeznaczony jest na korzyść Towarzystwa Dobroczynności.

— *Izraelita* drukuje najnowszą nowellę p. Elizy Orzeszkowej p, t.: „Daj kwiatek“. Bohaterką powieści jest łachmaniarka Chaita.

— 8. czerwca, zmarł w Paryżu Leon Bertrand, znany współpracownik „Jour. des Débats“ i redaktor-wydawca „Jour. des Chasseurs.“ Napisał on wiele dzieł o polowaniu i sporcie. — Jego *Vade mecum des Chasseurs*, oraz monografija bażanta, zasługują na uwagę nowożytnych Nemrodów.

— W dalszym ciągu powieści historycznych pracy olbrzymiej podjętej przez niezmordowanego Kraszewskiego, wyszła nowa powieść w dwóch tomach p. t. „Boleszczyce.“ Tło do tej powieści wziął Kraszewski z dziejów Bolesława II. Śmiałego, a mianowicie, zatargi tego ostatniego z władzą duchowną, przedstawicielem której był biskup krakowski Stanisław Szczepanowski, następnie w poczet świętych zaliczony. Przedmiotem następnej powieści, nad którą obecnie pracuje Kraszewski, jest ustęp z dziejów Bolesława III. Krzywoustego.

Rolnictwo.

— Gdy winnice zachodniej Europy od lat kilku niszczy niezwyciężony dotąd rodzaj owadu (Phyloxera), północne amerykańskie plantacye kartofli uległy również smutnemu losowi: rozgospodarzył się w nich chrząszczyk zwany „Kartoflowiec“ (Doryphora decemlineato). Gąsiennice tego małego potworu, pożerają całkowicie liście łodyg, przez co naciny więdną i kartofel ginie.

Owad powyższy znajduje się również i w samych ziemniakach — nie potrzebujemy więc dodawać ile szkodliwem być może sprowadzanie z Ameryki nasienia kartofli.

— Depesza z Kolonii przyniosła smutną dla rolników nowinę.

Na polach pod Mühtheimem schwytano właśnie kartoflowca amerykańskiego. Żarłoczny ten owad jest plagą niszczącą całe pola kartofli, może on w swej podróży przywędrować i do nas.

— Wiek dziewiętnasty, starający się ocenić i zużytkować wszystko co pożyteczne w naturze, nareszcie spożytkował także osławioną ropuchę, do której już dla samej jej brzydoty, uprzedzenie było większe niż do innych płazów. W ostatnich czasach gospodarze francuscy przyszli do przekonania, że ropuchy nadzwyczaj są użyteczne, zwłaszcza w ogrodach warzywnych, ponieważ oczyszczają warzywa z gąsienic i owadów. Od pewnego też czasu istnieje w Paryżu formalny targ na ropuchy. Angielscy ogrodnicy mianowicie zakupują ropuchy we Francyi masami, gdyż mało stosunkowo jest w Anglii tych zwierząt, a gospodarze tamtejsi trzymają się zasady, że każda grządka warzywa powinna mieć na straży jedną przynajmniej ropuchę. Obecnie targ na ropuchy w Paryżu odbywa się już regularnie raz na tydzień przy ulicy de St. Hilaire, za zwierzyńcem. Handlarze przywożą te zwierzęta w dużych beczkach z dziurkowatem dnem, w których ropuchy setkami ułożone są na mchu wilgotnym. Zdaje się jednak, że i we Francyi zwierzęta te nie są bardzo pospolite, skoro na targu paryzkim płacą po 75 do 80 franków, za sto sztuk większego gatunku.

Wielkie przedsięwzięcie.

— Francuski inżynier Dupanchel, nakreślił plan przeprowadzenia kolei żelaznej przez pustynię Sahara i w tym celu otrzymał od swojego rządu polecenie, zbadania tej kwestyi na miejscu. Budowa kolei od brzegów morza Śródziemnego do Timbuktu jest już rozpoczęta; kolej zaś z Algieru do Oranu w południowej stronie Algeryi, na długość 430 kilometrów już istnieje. Pan Dupanchel ma nakreślić dobrze plany linii do Metlili o 270 kilom. Wspomniana miejscowość leży blizko Gardaja, głównego miasta Mozamboku. Jak niegdyś Lesseps o zamierzonej budowie kanału Suezkiego, tak obecnie pułkownik Champanel miewa odczyty w Paryżu, o projektowanej drodze żelaznej przez Saharę.

Stowarzyszenia.

— W Kórniku w W. Ks. Poznańskiem założonem zostało d. 5go bm. „Towarzystwo młodych przemysłowców.“

Kronika wypadków.

— W miesiącu kwietniu bieżącego roku, zaginęło na morzach statków angielskich 51, niemieckich 26, francuskich 14, amerykańskich 10, holenderskich 9, włoskich 6, norwegskich 5, portugalskich 3, austryackich 2, szwedzkich 2, duńskich 2, hiszpański 1, grecki 1, flag nieznanych 9. Razem statków 141. W tej liczbie figuruje parowców 9.

Statystyka.

— Stan finansowy miasta Berlina, przedstawia się wedle ostatniego sprawozdania Rady miejskiej za rok 1876, w następujących cyfrach: Dochód za cały rok 1876, wynosił 34,121.238 marek 51 fenigów; rozchód 34,740.245 marek 51 fenigów, różnica na 619.906 marek 75 fenigów. Remanent kasy za rok 1875, stanowił 524.420 marek 53 fenigów. Całkowity deficyt za r. 1876, 1,677.863 marek 81 fenigów. Dług miasta w roku zeszłym doszedł ogromnej cyfry 86.136 870 marek.

ROZMAITOŚCI.

— Do charakterystyki naszych wielkich mistrzów słowa przybywają coraz nowe i cenne materyały. Mieliśmy niedawno korespondencyę Juliusza, niedługo mają się ukazać nieznane listy Krasińskiego, Odyniec w swych „listach z podróży“ niejedną stronę ciemną o życiu Adama wyświecił. Znajdujemy obecnie w warszawskiem Echu wspomnienia p. A. Połkozica, w których opisuje spotkania z wielkimi naszymi poetami; pozwalamy sobie podać wyjątki z tych wspomnień, ponieważ drogą nam jest każda powiastka, każdy najdrobniejszy szczegół odnoszący się do ich życia:

Pewnego dnia, w roku 1847, w miesiącu czerwcu, byłem bardzo smutny, bardzo zniechęcony moralnie — i w takiem usposobieniu, wyszedłem był z kawalerskiego gniazdka, jakie zajmowałem przy ulicy Trębackiej. Usposobienie to zmelancholizowało się bardziej jeszcze, gdym wyszedłszy z bramy, przecho lził pod oknami zacnej pani Głębockiej, trzymającej w tymże samym domu restauracyą „gospodarską“ — albowiem przypomniałem sobie, że już przez miesiąc z górą jadłem na kredę w jej szanownym zakładzie, i że dnia poprzedniego poczciwa gospodyni dała mi uczuć, acz w sposób wielce delikatny, że radaby obejrzeć z bliska owe sześćdziesiąt złotówek, które mój wyborny, dwudziesto dwu letni żołądek przejadł był u niej, w ciągu dni trzydziestu.

A tu, jak na złość, wszystko złożyło się jakoś na pognębienie moje moralne i materyalne razem. Na ostatniej sesyi „Biblioteki Warszawskiej,“ przepadł w gałkowaniu mój sielankowy poemat „Zuzula“; od matki ze wsi wybrałem pensyę za trzy miesiące z góry — od trzech tygodni nie miałem listu od... ideału młodości, zamieszkałego pod Pułtuskiem, w dworku otoczonym lasami.., a energiczny redaktor Hipolit Skimborowicz, który zaliczył mi trzy niebieskie, dziesięciorublowe papierki... na talent, który tak samo, jak moja kieszeń, obiecywał wiele lecz dotrzymał mało... atakował mię o rękopism jakiś — wreszcie, na wczorajszem posiedzeniu redakcyi „Dzwonu Literackiego“, kierownik tego zaimprowizowanego organu, nieboszczyk Wilkoński, nazwał mnie „szparagiem“, Lenartowicz wyśmiał jakiś wierszyk erotyczny, który z całą ufnością, przeczytałem mu na uboczu — a Wł. Wolski, zrobił mi lewka właśnie w chwili, gdy naszemu czcigodnemu stryjaszkowi literackiemu chwaliłem się, żem zebrał na Kurpiach sporą wiązkę prześlicznych pieśni ludowych, nieznanych dotąd nikomu.

Wszystko to, razem wzięte, sprawiło pewnie, że uczułem nagły wstręt do Warszawy i że gotów byłem uciekać z niej jak najprędzej — choćby na krańce świata! Oceany bezbrzeżne, góry niebotyczne i owe wielkie stolice, „gdzie lud w bogatych modli się kościołach i kędy dziewic słuchają książęta“ — zapalały wówczas bardzo młodzieńczą wyobraźnię moję! Szczególniej też Paryż, ów Paryż, z którego odzywały się wtedy potężne głosy Adama i Juliusza — był dla mnie tem, czem Mekka dla prawowiernego muzułmanina.

A trzeba wiedzieć, że dla wielu młodych i wyobraźniowych ludzi, szczególniej też dla rwących się do lotu piskląt literackich, Paryż ówczesny przedstawiał się

w pełnych fantazyi barwach. Każdemu z takich zdawało się, że skoro tylko przybędzie do nadsekwańskiej stolicy, natychmiast przy rogatce, zaraz spotka go sam prefekt departamentu Sekwany i Oazy, powita serdecznie „łaskawego pana dobrodzieja“ i rozumie się, osadzi w jakimś pięknym lokalu, przeznaczywszy mu przynajmniej kilkanaście tysięcy franków na doroczne wydatki.

Otoczony rojem podobnych myśli posępnych i... pstrych, na przemiany — skręciłem w prawo na ulicę Wierzbową, zamierzając dla poprawienia humoru, wstąpić do domu Dmuszewskiego, gdzie w oficynie na pierwszem piętrze, w lokalu zajętym obecnie przez redakcyą „Kuryera Warszawskiego“ i przez część drukarni, mieszkał zacny Stach B. gotów zawsze serdecznem choć i drwiącem niekiedy słówkiem, a w dodatku i fajeczką przyjacielskiego „gelb wirginien“ ugościć każdego, z młodszych nawet literackich kolegów. Zamiar ten jednak spełzł na niczem, albowiem dochodząc do ulicy Niecałej, spostrzegłem nagle wynurzającą się z niej postać wysoką, brodatą i uśmiechniętą do mnie serdecznie.

Był to Józef K. obywatel wiejski z pod Pułtuska, który siedząc po kawalersku wówczas jeszcze, — na swoim dziedzicznym Sielcu, używał reputacyi powiatowego ekscentryka i dawał ton duchowy całemu bliższemu otoczeniu swemu. Przez młodzież zaś w ogóle a przez wszystkich prawie ówczesnych literatów warszawskich w szczególe, kochany był serdecznie, jak na to zasługiwał charakterem szlachetnym, zacnym sposobem myślenia i serdecznem ciepłem, które wszędzie przynosił z sobą.

A ciepło to i pewien urok, otaczający jego osobę, Józef K. przywoził co raz świeże z ciągłych swoich wycieczek po szerokim świecie, z powodu których Włodzimierz Wolski, nazwał go był „człowiekiem stąpającym po globie,“ a Cypryan Norwid jako takiego wyrysował był nawet w dowcipnej i charakterystycznej karykaturze.

Istotnie Józef K. dwa lub trzy razy do roku wyjeżdżał był z kraju — a zawsze w każdej z takich wędrówek zawadzał o Poznań, Berlin, Paryż a nawet i Freiburg, i przywoził nam z tamtąd świeże wieści to od Libelta i Berwińskiego, to od dzielnego profesora Cybulskiego, to od tytanów poezyi, Adama i Juliusza, to wreszcie i od głośnego wówczas, myśliciela Bronisława Trentowskiego. Podczas pobytu na wsi, Józef K. trzymał dom otwarty, a dom ten, jakkolwiek kawalerski i opuszczany tak często, był jakby wielką ruchomą biblioteką, pełną zawsze książek najświeższych i... najciekawszych, które ztamtąd, jak stado ptaków roznoszących światło, rozbiegały się na całą okolicę, ustępując miejsca nowym i świeżym. — Nie będąc literatem, w specyalnem tego słowa znaczeniu, Józef K. pisywał jednak niekiedy udatne fragmenta poetyckie, w których w formie niewykształconej zbyt wysoko, widniały jednak często myśli głębsze, i gorące, choć zwykle mistycznie wyrażane uczucia.

Spostrzegłszy sympatyczną postać zacnego oryginała, ucieszyłem się bardzo i z okrzykiem powitania rzuciłem się w jego otwarte ramiona.

Józefowi K. towarzyszył Franciszek M., także obywatel wiejski, który od lat paru stał się jego cieniem. Małego wzrostu lecz wielkiego serca, ów satelita stał na czele znacznego majątku. Obadwaj też handlowali razem, spławiając corocznie drzewo, zboże i okowitę do Gdańska, i wędrując razem po świecie.

Teraz właśnie powracali z Paryża, a nie zagrzawszy miejsca w swoich wioskach, zarządzanych zresztą wybornie pomimo ich nieobecności, przybyli do Warszawy more antiquo na czerwcowy jarmark welniany i Ś-to Jańskie kontrakty.

Rozumie się, że zawrócili mnie zaraz i zabrali z sobą do angielskiego hotelu, w którym mieszkali, a tam już rozpoczęła się wielce ożywiona, w części wesoła, w części tajemnicza... gawędka, skutkiem której umówiliśmy się stanowczo, że za kilka tygodni, mianowicie zaś w miesiącu sierpniu, przybędę do Gdańska, gdzie zastanę ich obu w hotelu „du Nord,“ targujących się zawzięcie z Niemcami o cenę belek sosnowych, klepek dębowych i złotej pszenicy, spławionej na ich w tratwy związanym grzbiecie i że z tamtąd razem udamy się do... Paryża.

Postanowienie to, powzięte nagle, wykonałem tak ściśle, że punktualnie prawie w oznaczonym terminie przybyłem do Gdańska, ztamtąd zaś przez Berlin ruszyłem do Paryża.

Wbrew jednak pierwszemu układowi, musiałem samotnie odprawić wjazd do stolicy... Ludwika Filipa, albowiem Józef K. i Franciszek M. zatrzymali się na czas dłuższy w Berlinie, z powodu iż pierwszy z nich zastał tam śmiertelnie chorą żonę swego brata, drugi zaś... siostrzenicę pierwszego, prześliczną jak zorza i jak wiosna świeżą panienkę, która tej biednej umierającej suchotnicy towarzyszyła w podróży.

Wskutek tych okoliczności, nie chcąc zatrzymać się długo w niezmiernie nudnym dla każdego Polaka w Berlinie, wyjechałem ztamtąd sam jeden tylko, opatrzony jednak przez Józefa K. listem drogocennym, bo polecającym mnie w opiekę duchową Juliuszowi Słowackiemu, który, jak się później przekonałem, lubił istotnie i bardzo nawet naszego pod Pułtuskiego ekscentryka.

Odpocząwszy nieco po przybyciu i przebrawszy się po paryzku, chciałem był zaraz, tegoż samego dnia jeszcze, udać się z listem rekomendacyjnym do Słowackiego — paliła mię bowiem żądza duchowa zobaczenia czempredzej tego olbrzyma, którego pierś Memnońska wyrzuciła na świat tyle arcydzieł poezyi. Lecz gdym sobie przypomniał wszystkie sposągowane przez tego mistrza postacie, gdy stary Derwid spojrzał na mnie krwawo, wyłupionemi przez Gwinonę oczyma, a małżonek jej Lech wzniósł nademną swój miecz potężny; gdy znowu, z drugiej strony, jakby w obłoku podartym piorunami i rozświeconym błyskawicą ciągłą, zaczęły się przesuwać siostrzane postacie Lilli i Rozy, Aliny i Balladyny, a nad niemi przepłynęła w powietrzu Goplana, ulatująca za „kluczem“ żórawi, zarzuciwszy na szyję ostatniemu z szeregu ptaków swoje białe rączki... i gdy wreszcie, zagrzmiał mi w duszy ów straszliwy, sofoklesowski chór starców, harfiarzy weneckich z lirami złotostrunnemi, chór zakończony hukiem rozbitych urn, które wraz z prochami bohaterów mściwa Roza na głowy lechitów rzuciła — cofnąłem się już z drogi, nie śmiejąc stanąć przed cielesną postacią twórcy tego tytanicznego świata.

Jedna z bohaterek Juliusza, opisując majestat Jehowy, powiada o nim że:

> . . . stał na wielkiej górze
> Pośród dwunastu piorunów —
> W czarnej i ognistej chmurze,
> I... rozbłyskał się na całe niebiosa!

Otóż, w chwili gdym się do Słowackiego wybierał, postać jego zdawała mi się podobną do owego strasZliwego Jehowy, stojącego na górze wysokiej i rozbłyskującego się w ogniu piorunów... Wyobrażałem sobie, że poeta, którego jeden bohater „chce mieć jak Regulus obcięte powieki,“ a drugi, bard, także z przedchrześciańskiego świata.

> „Gdy go palono, cichszy od owieczki,
> Na lirze sobie czasami przygrywał
> I szedł przez płomień, z uśmiechem piosneczki.“

Że ten mistrz musi mieć w swem obliczu i w spojrzeniu, taki majestat grozy, przed którym zadrzy duch mój strwożony.

I nie poszedłem dnia tego.

Nazajutrz, przypomniałem sobie, że w Paryżu znajduje się kilku z moich dawnych znajomych; że Bogdan Dziekoński mieszka tam już od lat paru, że wreszcie Edmund Chojecki, znany w literaturze francuskiej pod nazwą Charles Edmond'a, jest moim ziomkiem z Podlasia, z którym kiedyś, przed laty, obadwaj jeszcze dziećmi będąc, zbijaliśmy „płytki“ vel „kaczki“ na wodzie pod oknami dworu jego ojca w Gródku; że wypada mi przeto zobaczyć się pierwej z tymi znajomymi, podobnymi jak ja sam śmiertelnikami i powziąć od nich wiadomość, jak się mam znaleźć wobec takiego mistrza jak Słowacki, jak przemawiać do niego.

I puściłem się za odszukaniem mieszkań Dziekońskiego i Charles Edmonda. Nieszczęściem jednak, o pobycie pierwszego dowiedziałem się bardzo mało, tyle tylko, że mieszka gdzieś na Batignolles i że wszedł do tak zwanego koła Towiańczyków. Mieszkanie drugiego odszukałem łatwiej, lecz... mieszkanie tylko, gdyż sam gospodarz wyszedł był rano i miał powrócić dopiero późnym wieczorem.

Tak więc, na drugi dzień po przybyciu do Paryża, w samo południe prawie, nie wiedziałem co robić z sobą.

W kawiarni „de la Regence, gdzie jak mi mówiono, zastanę zawsze kilku Polaków, przesiedziałem z kwadrans — napróżno, a nie mając nic lepszego do roboty rozpatrywałem się po świetnym apartamencie tego pierwszorzędnego wówczas zakładu.

Wyszedłem nareszcie z kawiarni i wsiadłszy do fiakra zawołałem na woźnicę:

„Rue Ponthieu,“ Nr. 30, „Allez!“

Odźwierny wskazał mi mieszkanie Juliusza na 5-m piętrze. Tak wysoko! Nie zwróciło to jednak mojej uwagi, gdyż idąc po schodach utrzymanych starannie, i trzymając w ręku list polecający, jak glejt bezpieczeństwa, czułem, że serce bije mi w piersi i szamocze się po niej, jak ptak po klatce.

Doszedłszy do drzwi, na których przybity był bilet wizytowy z imieniem i nazwiskiem poety, zadzwoniłem.

W minutę potem, drzwi te wiodące do małego przedpokoju, otworzyła mi jakaś posiwiała już, przyzwoicie ubrana kobieta. Była to żona odźwiernego, posługująca poecie.

— „Je suis un Polonais et je viens de Varsovie. Wyszeptałem nieśmiało, trzymając list w ręku.

Odźwierna zostawiła mnie w przedpokoju, sama zaś weszła dalej. Za chwilę usłyszałem ją mówiącą do kogoś głośno i wyraźnie·

— „Il y a ici un jeune homme qui vient de Varsovie.“

— Z Warszawy!... Zawołał na to jakiś głos dźwięczny i wzruszony.

I w tejże chwili... drzwi przez które wyszła odźwierna, otworzyły się, a w nich ukazał się człowiek nizkiego wzrostu, z twarzą bladą i czołem wyniosłem, otoczonem zwojami czarnych jak heban włosów. Z pod tego czoła patrzyły oczy wielkie, także czarne i jakby wilgotne w tej chwili.

Postąpiłem ku niemu nieśmiało i podawałem list.

— Z Warszawy!! Powtórzył znowu i... wyciągnął ramiona a obiąwszy schyloną kornie głowę moją, upuścił na nią łzę... ciężką!

Przejęty czcią i wzruszony głęboko, ująłem rękę poety i ucałowałem ją z miłością.

Nie śmiejcie się ze mnie, o młodzi geniusze dzisiejsi! Darujcie mi, bożkowie krytycznego Parnasu a racz przebaczyć i ty także, jaśnie wielmożny prelegencie krakowski, który „lekkim“ ust twoich podmuchem, chcesz strącać z opok granitowe posągi... Powtarzam raz jeszcze, że ze czcią i miłością ucałowałem tę rękę mistrza, która taki ogromny świat wzniosłych i bohaterskich postaci sposągowała w pieśni — nieśmiertelnej.

Od Redakcyi.

W. Pan G. w Słupcu. Otrzymaliśmy na III. kwartał tylko 4 zł., zamiast 4.40.

W. Pan J. M. w Nestorowcach. Otrzymaliśmy za III. kw. tylko 4 zł., zamiast 4.40.

W. Pan J. K. w Wojaszówce. Otrzymaliśmy za II. i III. kw. tylko 7 zł. zamiast 8.80.

W. Pani K. Z. w Iokani. Przedpłata na III. kw. jest pokrytą.

W. PP. Prenumeratorowie w Żywcu. Tydzień wysyła się regularnie. Nie rozumiemy dla czego połowa numerów wysyłanych do Żywca ginie. Musi być nieporządek na poczcie. Prosimy tam upominać się o Nra.

W. Pan W. K. w Sułkowicach. Z nadesłanej prenumeraty na bieżący kwartał pozostało tylko 75. c. prosimy o uzupełnienie.

Treść Nr. 43.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.